PRZYGODY
KS. MARCINA LUBOMIRSKIEGO.

Według autentycznych źródeł

opowiedział

Władysław Chomętowski.

(*Ciąg dalszy*).

Wszyscy przytomni, za wyjątkiem księcia Strażnika W. Koronnego i dwóch posłów Karwowskiego i Sosnowskiego, potwierdzili głośno zdanie gospodarza, który na zakończenie uczty, wezwał przytomnych do spełnienia staropolskiego toastu: „kochajmy się.“

Długo jeszcze do późnéj nocy raczyli się goście winem; Krajczy Koronny spełniał gęste puhary z posłami, którzy zapomnieli w téj chwili o politycznéj z nim kłótni, odkładając takową do zbliżającego się sejmu, ale Karwowski, choć silnie rozmarzony już winem, nie mógł obojętnie spotkać wzroku księdza Konarskiego, który z Miecznikiem Koronnym ważną zajęty był rozmową; od czasu więc do czasu częste dawał mu przycinki i rzucał obelgi na całe zgromadzenie księży Pijarów.

Przy pożegnaniu ks. Konarskiego z gospodarzem domu, miała miejsce dość pocieszna scena, któréj aktorem był Karwowski; podochocony poseł Bielski, ściskał serdecznie Krajczego Koronnego, wynurzając mu przyjaźń i dozgonny szacunek, ale spostrzegłszy przechodzącego mimo księdza pijara, pochwycił go za koniec sukni i zawołał:

— Przyznaj się księże, wszak to Waszmość napisałeś te bezecną książkę?

Ks. Konarski spojrzał z politowaniem na posła, wyrwał się z rąk jego i pośpiesznie wyszedł z komnaty.

— O! znam ja dobrze tego księdza pijara, nastaje on najmocniéj na naszą szlachecką skórę, wbija w głowę naszym panom te szkodliwe maksymy, które mogą stać się zgubą szlacheckiéj wolności; gdyby nie broniła go ta duchowna suknia, musiałby strze-



Tak prędko odchodzisz już *adorable Comtesse*, porzucasz więźnia, który chciał jeszcze chwil kilka cieszyć się twoim widokiem....

lać się ze mną, lub rąbać na pałasze....

Ostatnie słowa Karwowskiego usłyszał mło-

dy Stanisław Zboiński, poseł Rożański i rzekł uroczystym głosem:

— Szanuję wielce ks. Konarskiego, więc chętnie za niego usłużę WPanu, proszę o wyznaczenie na jutro miejsca i godziny, w której mam stawić się do pojedynku, na pistolety lub pałasze, według życzenia Waszmości.

Tak niespodziewane wyzwanie młodzieńca, podobało się wielce Karwowskiemu, który był zawołanym rębaczem, więc rzucił się mu na szyję i zawołał:

— A to mi gracz z ciebie! widzę, że krew w tobie nie woda, mościpanie pośle Rożański.... zgoda na to zupełna, będziem rąbać się na pałasze... jutro o godzinie 9éj rano, w lasku pod Bielanami, JPan Sosnowski będzie mym sekundantem.

Wkrótce po tem wyzwaniu, opuścili goście mieszkanie księcia Miecznika W. Koronnego, który został sam na sam z księdzem pijarem Drużbackim i wiódł z nim następującą rozmowę.

— Ojcze Drużbacki dobrodzieju, wielkie przewiduję burze, które na nasz kraj biedny zwalą się może nie długo.

— Wielu z nas widzi to samo, J. O. książe Mieczniku, ale nie wielu pono myśli o ratunku.

— Są tacy, którzy niewątpliwie myślą o tém; ale na cóż się przyda przezorność żeglarza, jeżeli burza w okręcie wszystkie połamie już maszty.

— Możnaby podnieść i naprawić zgruchotane maszty, ale brak jest robotników, J. O. książe mój dobrodzieju, brak mówię, jest wielki.

— Zacny, wielebny ojcze i jedyny mój przyjacielu, ratuj duszę moją, bo upadam pod brzemieniem trosk i nieszczęść i blizki jestem zupełnéj rozpaczy. Boli mię srodze los kraju, boli los syna, którego starałem się wychować na pociechę méj starości i podporę ojczyzny; odkąd opłakuję stratę jedynéj towarzyszki, jedynéj przyjaciołki w mem życiu, czarne tylko przed sobą widzę obrazy, pędzę noce bezsenne, wśród których złowrogie prześladują mię cienie, a zdaję mi się, jakobym słyszał ich narzekania i jęki.

— Niech W. Ks. Mość odpędza podobne myśli z głowy, mary te są fraszkami, które z gorączkowéj rodzą się wyobraźni.

— O! nie mów mi tego ojcze, bo ja najmocniéj wierzę, że te nocne widzenia są prognostykami nieszczęść, które nas spotkać mają. Wy księża Pijarzy nie dajecie temu wiary, ale mój kapelan, ks. Tokarski, zgadza się ze mną, że Bóg rozmaitemi znakami ostrzega nas nieraz i przedwcześnie objawia swą wolę.

— Wszystko to być może, ale kościół uczy, że przez nieszczęście Bóg nas próbuje lub karze.

— Niech jego święta spełni się wola! rzekł Miecznik, schylając ku ziemi głowę, po chwili zaś dodał: Pojutrze sejm się rozpoczyna, do tak wielkiego dzieła muszę oczyścić mą duszę i wezwać pomocy Ducha św., więc jutro przystąpię do Sakramentu pokuty, a ty wielebny ojcze nie odmówisz mi twéj duchowéj pomocy.

Ksiądz Drużbacki schylił głowę na znak potwierdzenia i pożegnał gospodarza domu, który do późnéj nocy klęczał przed wizerunkiem Ukrzyżowanego i z wielką skruchą przygotowywał się do przyjęcia Sakramentu Ołtarza.

X.

Sejm extra-ordynaryjny zerwany został jak poprzednio, przez zabiegi nieprzyjaznego dworowi stronnictwa, poseł Karwowski, lubo lekko ranny w pojedynku ze Zboińskim, znajdował się na sejmowych obradach i pierwszy zaniósł manifest przeciwko czynnościom sejmu, za przykładem jego poszli inni i zapisali swą protestację w aktach metryki koronnéj, między nazwiskami tych posłów czytamy: Stanisława Lubomirskiego Strażnika Koronnego. Marszałek byłego sejmu Adam Małachowski, wyczerpawszy napróżno wszystkie starania względem nakłonienia umysłów do zgody, pożegnał izbę słowami: *infelix fortuna vale, vacuique valete conatus*. Nieszczęśliwe rozwiązanie sejmu, zadało cios ostatni starganym siłom Miecznika Koronnego, odtąd nie opuszczał już łoża i spokojnie oczekiwał śmierci, przygotowując się do niéj częstemi modlitwami i spowiedzią. Na kilka dni przed zgonem, ks. Miecznik wezwawszy na świadków księdza spowiednika Drużbackiego i kapelana swego Tokarskiego, polecił Maciejowi Hanieckiemu pisać testament, który mu zwolna i wyraźnie dyktował; akt ten, ogromnie długim poprzedzony był wstępem, w którym Miecznik czyni wyznanie wiary i z nadzwyczajną pokorą wylicza swe ułomności i wzywa zmiłowania Stwórcy i świętych jego. Ciekawy testament księcia Miecznika, możemy streścić w następujących słowach:

„Widząc Wszechmocnego Boga, nieodzowne prawo, które wszystkim ludziom śmierć przeznacza, wezwałem Ducha Przenajświętszego na pomoc i ten ostatni woli mojéj czynię testament. Najprzód protestuję się przed Bogiem i Odkupicielem moim, że w wierze św. katolickiéj spłodzony jestem, w niéj przepędziłem wiek mój i umierać pragnę; potępiam przeto i wyrzekam się wyklętych sekt od kościoła Bożego, bezbożnych nowin szatańskich, inwentowanych konfraterni, pod jakimkolwiek zostających tytułem, które jako kościół św., matka moja za odszczepieńców uznała, tak też i ja lubo mizerny człowiek, wyklinam, kassuję i onych się wyrzekam. Wyrzekam się czarta przeklętego i jego wspólników na wieki z nim w piekle gorejących, odrzucam wszystkie jego kłamliwe uwodzenia, szatańskie omamienia i przewroty, błagam więc miłosiernego

i wszechmocnego Boga, aby odegnał odemnie owe djabelskie pokusy, a anioła swego dał mi za stróża.

Dziękuję Tobie Stwórco mój, żeś mię mizernego człeka, proch nikczemny pod stopami Twemi, nie w podłéj lada kondycji, ale z uczciwych rodziców stworzył, nie w kalectwie, jak jakie *monstrum*, ale w przystojnéj urodzie, za którą, jak za inne dobrodziejstwa i talenta, jakże często odpłacałem Ci niewdzięcznością!... Wyznawam Boże mój, że ciężkiemi grzechami i wszetecznemi występkami, przeciwko prawu twemu wykroczyłem, nie na jedno więc piekło, ale na miljon zasłużyłem, jednak ufam w miłosierdziu Twojém Boże i nie desperuję o zbawieniu mojém, ale w téj ostatniéj godzinie, krwawemi oblawszy się łzami, uciekam się do nieprzebranego źródła miłosierdzia Twego. Spuść kroplę krwi z Twego boku Ukrzyżowany za nas Jezu, niech usłyszy dusza moja wychodząca z ciała, pocieszające słowa, które ongi wyrzekłeś do wiszącego na krzyżu obok Ciebie łotra: *hodie mecum eris in paradiso*. Dziękuję Matko Najświętsza, Marjo Panno i Orędowniczko moja, za Twe nieprzebrane dobrodziejstwa, nakryj nagość uczynków moich płaszczem łaskawości Twojéj, wszak nietylko w szczęściu, ale i w nieszczęściu zwykłaś być matką miłosierdzia, błagam Cię więc, rozpędź, w ostatniéj godzinie śmierci, piekielne zamachy, na zgubę duszy mojéj czuwające, uproś u najmilszego Syna Twego, łaskę odpuszczenia grzechów... Dziękuję wam święci Pańscy, żeście bronili mię przez całe życie od rozmaitych ciała i duszy przypadków; wyznawam, że nie tak wam jak należało służyłem, choć o ile sposobność czasu dozwalała, wasze ubłogosławione w niebie ogłaszałem *merita*; błagam dziś was, nie odstępujcie odemnie w godzinę śmierci, ale wyrwawszy duszę z sideł djabelskich, zanieście ją na łono Wszechmocnego Stworzyciela. Dziękuję wszystkim przyjaciołom moim, za stateczną serca przychylność, którą przez całe życie mi okazywali, błagam, aby jako na żywego łaskawi byli, po śmierci też o duszy mojéj nie zapominali, a jeżeli jakie w ojczyźnie położyłem zasługi, niech wnagrodę tychże pomodlą się za duszę moją. Dziękuję nieprzyjaciołom wszystkim, że dawali mi okazję do mortyfikacji, których jeśli kiedy uczynkiem, pismem lub słowem uraziłem, przepraszam i proszę aby mi dla miłości Bożéj odpuścili, tak jak wzajem wszystkie urazy do nich z całego serca odpuszczam. Dziękuję walecznemu rycerstwu, z którém od młodości rosłem, za okazany afekt ku mnie w niejednéj okazji; dziękuję szczególnie chorągwi pancernéj, oficerom, towarzyszom i całemu regimentowi pod komendą moją będącemu, jako też garnizonom i pułkom nadwornym, upraszam tych wszystkich, jako za życia sławy méj orężem bronili, aby po śmierci duszę moją modlitwami wspomogli i od zguby ochronili. Dziękuję całemu dworowi, służącym i poddaństwu memu, za dotrzymanie mi wiary i posłuszeństwa, a jeżeli w czém ich pokrzywdziłem, proszę, niechaj mi odpuszczą; wiedząc zaś, że w jednéj cenie u Boga, jest modlitwa chłopka i największego potentata, proszę was, poddani moi, o częste za duszę westchnienie.

Uczyniwszy dyspozycją względem méj duszy, pomyślałem o rozporządzeniu co do ciała i co do fortuny. Pogrzeb mój, niechaj będzie nie zbytkowy, ale przyzwoity, u Reformatów w Kazimierzu chcę być pochowany; ubogim obiady i jałmużnę, rozdawać polecam.“

W dalszym ciągu testamentu, znajduje się rozporządzenie majątku, różne legaty zakonom, sługom i przyjaciołom, głównym opiekunem całego majątku, mianuje brata swego Franciszka, który obejmuje po nim starostwa Barskie i Kazimierskie, wkłada książe Miecznik Koronny obowiązek na tegoż, ażeby nie pokrzywdził w niczem dawnych i wiernych sług jego: Siemońskiego porucznika znaku pancernego, Macieja Hanieckiego i Strzałkę towarzyszów, którzy w rzeczonych starostwach posiadali dożywocia. Wyliczone są następnie długi ciężące na dobrach, które ma wypłacić brat Antoniego, ks. Franciszek Lubomirski, wspomina czule o córce swéj Magdalenie Sapieżynie, Wojewodzinie Połockiéj, któréj życząc błogosławieństwa, summę zapisaną najpierwéj oddać poleca. Zwraca się nakoniec ojciec do syna Marcina, o którym tak mówi: „Z żalem i wstydem wyznać mi przychodzi, że spłodziwszy *legitime* sukcessora z JP. Anną z Ożarowskich Lubomirską, małżonką moją, dla hultajskich postępków, powinienbym go wydziedziczyć, z powinności jednak chrześcijańskiéj, daruję mu wszystkie winy, które nietylko śp. żonie mojéj, ale i mnie samemu *accesserunt fata*. Nie z gniewu żadnego, z zemsty ani z urazy, ale dla saméj sprawiedliwości chcę, ażeby tenże syn mój Marcin, jeszcze przez dwa lata w tejże fortecy Mągacz pokutował, po czem zaklinam brata mego Franciszka, pod obowiązkiem sumienia, ażeby wyjednał mu uwolnienie. Kładę zaś ten warunek synowi memu, ażeby otrzymał dekret, kassujący jego bezecne małżeństwo, w którymkolwiek konsystorzu, lub ażeby separował się z nią wiecznie i zaniechał wszelkich stosunków i korespondencji, która to kondycja gdyby zdawała się mu zbyt ciężką, niechaj nie wychodzi z więzienia, aż do czasu oznaczonego dekretem.“

W kilka dni po napisaniu rzeczonego testamentu, przeczuł książe Miecznik zbliżającą się chwilę śmierci, nie chciał przyjmować żadnego lekarstwa, ale przywołał spowiednika swego ks. Drużbackiego, przed którym uczynił po raz ostatni spowiedź powszechną i przyjął z rąk jego SS. Sakramenta. Na kilka godzin przed zgonem, zawezwał raz jeszcze swych przyjaciół księży Pijarów: Konarskiego i Druż-

backiego, z któremi dość długo rozmawiał przytomnie.

— Polecam ci ojcze Drużbacki dobrodzieju, mego marnotrawnego syna, wyznaczyłem pewną kwotę pieniężną na podróż waszą do Mągacza, którą wraz z JmPanem Siemońskim odprawicie natychmiast po mym pogrzebie, okażecie Marcinowi ostatnią moją wolę, którą wypełnić powinien święcie, jeżeli zechce być uwolniony z więzienia.

— Wykonam wolę Waszéj Książęcéj Mości, odrzekł poważnie ks. Drużbacki, ale jako kapłan ośmielam się wnieść instancję o złagodzenie wyroku, na wypadek gdyby książe Marcin nie zechciał zerwać ślubnego związku z osobą, któréj zaprzysiągł wiarę....

— Nie mów mi już o tem ojcze, ślub ten bez woli mojéj i bez świadków ważnym być nie może, w każdym konsystorzu łatwo otrzyma dyspensę.

— Nie przeczę, że może otrzymać dyspensę, ale też jako kapłan i spowiednik Waszéj Książęcéj Mości, muszę mu przełożyć, że rozwody praktykujące się dziś tak często, wynikają ze złości i zatwardziałości serca ludzkiego; że kościół, matka nasza, ulegając smutnéj konieczności, cierpi takowe do czasu, chociaż nie błogosławi im wcale.

— Pojmuję słuszne skrupuły wasze, a jako jestem na progu wieczności, nie chciałbym obciążać sumienia mego żadnym grzechem; zaklinam cię jednak ojcze wielebny, jako i wszystkich mych przyjaciół, nakłońcie syna mego do rozłączenia się z kobietą, któréj niecna miłość tak wielkie na dom mój sprowadziła klęski, powiedźcie mu, że pod utratą błogosławieństwa go zaklinam, ażeby zerwał z nią wszelkie stosunki, które w grób wtrąciły przedwcześnie nieodżałowanéj pamięci jego matkę, a o których, w téj ostatniéj chwili mego żywota, nie mogę pomyśleć bez zgrozy.

Powiedziawszy te słowa, z widocznem wzruszeniem opuścił głowę książe i zakrył twarz rękami, poczem nastąpiła chwila uroczystego milczenia, którego nie śmieli przerwać obecni księża, ale spoglądali z współczuciem na umierającego starca.

Pierwszy znów przerwał ciszę Miecznik Koronny, zwracając się do księdza Konarskiego, skinął na niego i rzekł stłumionym głosem:

— Najdroższy księże mój i najlepszy przyjacielu, wybacz mi, że wkładam na twe sumienie obowiązek, ażebyś dopilnował także méj ostatniéj woli i w tym celu porozumiał się z mym bratem Franciszkiem, który ma być wykonawcą mego testamentu, niechaj on niezaniedba podziękować królowi memu miłościwemu panu, za wszystkie dla mnie świadczone dobrodziejstwa, jako też odda do rąk jego zadatki szczodrobliwości pańskiéj, ordery Orła Białego i św. Henryka, podziękuj też ojcze odemnie Jaśnie Wielmożnym Hetmanom za ich łaskawość dla mnie, boć chcę okazać powinną wdzięczność wszystkim, jako słońcu i niebieskim planetom dziękuję za światło i ciepło, którém mnie ogrzewały, a ziemi téj, że mię karmiła i przyodziewała. Pragnąc nadto okazać afekt mój nawet po śmierci, dla sprawy publicznéj, któréj służyłem przez cały ciąg życia, pozostawiam w téj oto szkatule pieniądze, których użyjesz ojcze według własnego uznania, dla ogólnego pożytku Rzeczypospolitéj.

— Dziękuję Waszéj Książęcéj Mości za ten nowy dowód łaski i zaufania, odrzekł schylając głowę ksiądz pijar Konarski.

— Nie dziękuj mi wcale wielebny ojcze, bo przemyśliwałem długo nad tem, komu mam powierzyć legat dotyczący sprawy publicznéj, ale przekonałem się w końcu, że nie mogę go oddać w niezawodniejsze ręce. W téj więc szkatule, rzekł, wskazując na biórko stojące obok komina, znajduje się dodatek do testamentu, własną mą spisany ręką i pieniądze które przeznaczam.

— Jestem posłusznym sługą Waszéj Książęcéj Mości i pragnę jak najsumienniéj wypełnić jego wolę, ale dla tego też radbym wiedzieć, na jaki cel wyraźnie mam odebrać przeznaczone pieniądze?

— Wszak powiedziałem, że polegam zupełnie na twém uznaniu, wielebny ojcze; założyciel szkoły rzemieślniczéj w Opolu, autor książki: o skutecznym rad sposobie, najlepiéj potrafi rozrządzić funduszem, który przeznaczam dla ogólnego pożytku....

Po chwili odpoczynku, dodał ks. Miecznik:

— Ale powiedz mi jeszcze ojcze, czy księgi twoje o utrzymywaniu naszych nieszczęśliwych sejmów, mogą pożądanego spodziewać się skutku, powiedz mi, bym mógł umrzeć spokojnie, czy masz nadzieję pokonać piórem to źródło fałszu i niezgody, które od lat tak wielu toczy wnętrzności naszéj Rzeczypospolitéj?

— Miejmy ufność w Bogu i w słuszności naszéj sprawy, odrzekł schylając głowę ks. Konarski.

— Najświętsza Panno Marjo Orędowniczko nasza, zlituj się nad nami! Zawołał silnym choć drżącym głosem książe Miecznik, z wzniesionemi oczami w górę; twarz jego rzęsistemi zrosiła się łzami, ale po chwili nadzwyczajnego wzruszenia, oczy starca mgłą się pokryły i głowa jego bezwładnie spadła na poduszkę. Była to chwila omglenia, a w kilka godzin po opisanéj rozmowie, Miecznik Wielki Koronny oddał ducha Bogu.

XI.

W okolicach Wiłkomierza, nad rzeką świętą, leżała wioska, dziedzictwo cześnika Wyleżyńskiego, stary drewniany dworek ocieniony lipami, wznosił się na wzgórzu. Było to w porze zimowéj, o godzinie piątéj po południu, zmrok szary zasłaniał malownicze widoki okolicy; w izbie gościnnéj dworku, około płonące-

go na kominie ogniska, siedział gospodarz domu, obok zaś, znany nam, ksiądz pijar Drużbacki. Cześnik Wyleżyński ubrany był w polskim stroju, z wysokiem czołem i podgoloną głową, mógł mieć około lat sześćdziesięciu, ale twarz jego rumiana i żywe czarne oczy, okazywały siły młodzieńcze, nie zużyte troską ani latami, choć nie jedna już burza przesunęła się nad jego głową i nie jedna boleść zraniła mu serce; utracił on bowiem, przed kilkunastu laty, ukochaną małżonkę i syna, została mu tylko córka, jedyna pociecha w osamotnioném życiu. Wiemy już, jak srodze miłosne przygody Anny, dotknęły jéj ojca, jak nakoniec wiadomość o zawartym ślubie z księciem Marcinem, złagodziła oburzenie rodzicielskiego serca. Cześnik przekonawszy się o niewinności córki, otworzył dla niéj podwoje ojczystego domu i otoczył ją staraniami i miłością, chociaż głośna sprawa księcia Marcina z rozgniewanym ojcem, uwięzienie syna za granicą kraju, a ztąd niepewność względem przyszłości jedynéj córki, żywą serce starca przeszywała boleścią. Skoro dowiedział się cześnik o śmierci księcia Miecznika, natychmiast napisał list do księdza pijara Drużbackiego, błagając go o doniesienie względem testamentu ojca i dalszego losu syna, ale ksiądz pijar wypełniając wolę umierającego, wyjechał w podróż do Mągacz, gdzie okazał ks. Marcinowi testament i przełożył żądanie jego rodzica. Chociaż położenie więźnia nie zmieniło się wcale, nie zachwiał się w zaprzysiężonéj wierze swéj oblubienicy, owszem oświadczył, że dla jéj miłości, gotów jest ponieść największe ofiary, błagał tylko na wszystko księdza pijara, ażeby wstawił się za nim do stryja i do hetmana W. Kor., mianowicie do tego ostatniego, ażeby wpływami swojemi wyjednał mu przeniesienie do innego mniéj odludnego więzienia. Staraniom też księdza Drużbackiego zawdzięczał książe Marcin, że w końcu 1762 r. przeprowadzono go do twierdzy Budy, gdzie tameczny komendant, feldmarszałek wojsk austryjackich, Hadik, polecił dozorcom obchodzić się z nim uczciwie i otoczył go należnemi względami. Tymczasem ksiądz Drużbacki, natychmiast po powrocie z Mągacza porozumiał się listownie, uwiadomił o ostatniéj woli Miecznika, pozostawił zaś dalsze szczegóły do porozumienia się osobistego, przyrzekając, że skoro tylko załatwi interesa zmarłego księcia i jego syna, nie zaniedba odwiedzić go natychmiast w jego własnym domu.

Cześnik oczekiwał z upragnieniem na przyjazd księdza pijara, przyjaciela domu Lubomirskich, spodziewał się bowiem, że egzekutorowie testamentu zmarłego Miecznika, złagodzą warunek dotyczący się losu jego zięcia i córki, przed którą ukrywał ojciec aż do téj chwili wiadomość o ostatniéj woli księcia, obawiał się bowiem jakiego gwałtownego kroku, znając wielką siłę jéj uczucia i gotowość do poświęcenia dla ubóstwianego przez nią Marcina. Pierwsza rozmowa cześnika Wyleżyńskiego z gościem, dotyczyła się wypadków, które miały rozstrzygnąć los jego córki. Ksiądz pijar Drużbacki chciał przedewszystkiem porozumieć się z Anną, dowodził, że najwięcéj interesowana strona w téj sprawie powinna być zawiadomioną dokładnie o szczegółach, które są najważniejszą przeszkodą do jéj spokoju i szczęścia.

— Jeżeli córka Waszmości zgodzi się na rozwód, mąż też jéj nie będzie mieć zapewne w téj mierze skrupułu, a uwolniony raz z więzienia, uczyni niewątpliwie zapis i zapewni przyzwoite utrzymanie swéj małżonce.

— Nie chcę słyszeć o żadnym zapisie księże pijarze! zawołał z oburzeniem cześnik, moja córka ma z łaski Boga dość przyzwoitą fortunę, rozwodów też nie cierpię, bo o takowych nie słyszano nigdy w naszym rodzie, przodkowie moi byli zawsze gorliwemi katolikami, a ich stadła małżeńskie żyły w zgodzie i błogosławieństwie, ale kiedy tak podobało się ukarać mię Najwyższéj Opatrzności, że córka moja zawarła związek z mężem, który za to ma być więziony przez długie lata, niechże rozwodzi się z nim lub separuje, zostawiam to jéj własnéj woli. Boli mię wprawdzie ten wypadek, niepraktykowany dotąd w naszym domu, lecz z dwojga złego, wolę ażeby się wyrzekła związku z człowiekiem, który jak podły zbrodniarz, jest skazany na długie w obcym kraju więzienie.

— Muszę zaświadczyć i oddać sprawiedliwość księciu Marcinowi, że godnie postąpił w téj sprawie, jak przystoi dobremu katolikowi i zacnemu jego urodzeniu, bo przeczytawszy rzeczony warunek w testamencie, zawołał z wielkiém uniesieniem: nigdy, za nic w świecie nie zdradzę zaprzysiężonéj wiary Annie. Sądzę więc, mości panie cześniku, że zgadzając się na separację waszéj córki z księciem Marcinem, powinny ku niéj okazujecie afekt, dowiedziawszy się bowiem prędzéj lub późniéj o tém, że związek ten stał się powodem tylu nieszczęść, a może nawet śmierci jéj ukochanego, ta zacna pani tę fatalną aniespodziewaną wiadomość, mogłaby przypłacić życiem.

— To też lękając się okropniejszego następstwa, zgadzam się na ten fatalny rozwód, lub dobrowolne rozłączenie z mężem, ale nie ręczę wcale za skutek, dopóki sam na sam nie rozmówię się z Anną, nie chciałem dotąd zadawać téj nowéj rany jéj sercu, widząc jak w ciągłym i srogim bólu pędzi nieboga miesiące i lata, od czasu uwięzienia jéj męża. Ale macie słuszność księże pijarze, trzeba raz rozciąć ten węzeł, który to ukochane dziecię, jedynaczkę moją, kosztuje tyle łez i zgryzot; wolę niestety, niech podpisze się na rozłączenie z mężem, z którym nic wspólnego mieć nie może, więc ze wstydem i żalem tytułuje się jego żoną; większać to daleko infamja mieć

męża więźniem i na wygnaniu, niż nie mieć go wcale.

— Jutro muszę pożegnać się z wami, mości panie cześniku, mam bowiem, w tym czasie, ważny do załatwienia interes w Wilnie, jedynie tylko dla porozumienia się, zboczyłem z drogi, prosiłbym więc Waszmości, ażebyś raczył pomówić niezwłocznie z córką i wybadać jéj sentymenta w téj sprawie.

— Uczynię to natychmiast, ale ojcze pijarze dobrodzieju, zostawisz mnie z nią sam na sam na chwilę.

To powiedziawszy, przeprowadził do przyległego alkierza księdza pijara, poczem przywołał córkę.

Anna ubrana w czarną suknię, ukazała się w progu na wezwanie ojca; piękna była jak dawniéj, choć mgła głębokiego smutku zasępiła jéj rysy i zaćmiła blask oczów.

— Czego żądałeś ojcze? zapytała drżącym głosem, jakby przeczuwała w duszy, treść mającéj nastąpić rozmowy.

— Siadaj moje dziecię, rzekł cześnik, wskazując krzesło córce, mam do pomówienia z tobą długo, w ważnym przedmiocie twego nieszczęśliwego małżeństwa.

Anna słysząc te słowa, pobladła i usiadła mocno wzruszona; od dawnego bowiem czasu, ojciec jéj unikał zawsze tego przedmiotu, ze względu na boleść i zdrowie ukochanego dziecka.

— Nie trwoż się Anno, rzekł cześnik łagodnie, wiesz że z całego serca przebaczyłem ci już dawno czyn twój nierozważny, ty sama odpokutowałaś za tę płochą miłość, która się stała źródłem srogiego zawodu, a któréj skutki opłakuje dotąd twój mąż w więzieniu, ty zaś w oddaleniu od niego, bez nadziei pociechy, która jest udziałem szczęśliwych małżonków. Nie myśl jedyne dziecię, ażebym wyrzutami chciał ranić biedne serce twoje, owszem pragnę ci przywrócić spokój i swobodę, więc powiem ci krótko: trzeba raz zakończyć sprawę, która nas kosztuje tyle łez i doznanych zawodów, podpisz jako rozłączasz się z człowiekiem, którego twoim napróżno tytułujesz mężem, bo dumny ojciec jego, książe Miecznik Koronny, w testamencie pisanym przed śmiercią, zastrzegł ten warunek, bez którego, syn jego Marcin musi pozostawać w więzieniu, aż do upływu lat piętnastu, oznaczonych w dekrecie.

Anna cichym tylko odpowiedziała jękiem, twarz jéj śmiertelną pokryła się bladością, głowa bezwładnie spadła na piersi.

— Anno, tak jesteś drżąca i blada.... uspokój się moje dziecię... Bóg mi jest świadkiem, że jedynie tylko dobra twojego pragnę... podaję ci więc jedyny sposób, który może przywrócić spokój i wesele tobie, jemu zaś wolność....

Nastała chwila uroczystego milczenia, ale niezadługo Anna podniosła głowę, a zalewając się łzami, padła do nóg ojcu i zawołała składając ręce:

— Najłaskawszy ojcze mój i dobrodzieju! nie ma dla mnie wesela ani spokoju, od chwili, w któréj zapomniałam o obowiązkach córki i bez rady i zezwolenia rodzicielskiego, ślubowałam miłość temu, którego ukochałam tak gorąco!

— Otóż pragnę Anno przywrócić ci ten spokój, nie otrzymasz go jednak inaczéj, jak przez wyrzeczenie się związku, który żadnego nie ma znaczenia. Rodzina księcia Marcina, wypełniając wolę zmarłego, żąda ażebyście rozłączyli się na zawsze, nie dopełniając tego warunku, mąż twój nie powróci do ciebie i może śmierć rychłą znajdzie w więzieniu.

— Boże mój! czyż mię słuch nie myli?... Wszak mówisz ojcze mój dobrodzieju, że jedynie z mego powodu książe Marcin pokutuje dotąd w więzieniu?...

— Tak jest, ojciec jego przed śmiercią zastrzegł wyraźnie, że nie może być oswobodzony, dopóki nie uzyska rozwodu, lub na mocy dobrowolnéj umowy, nie rozłączy się z tobą. Wiesz jak szanuję związki małżeńskie, żadne namowy ani pogróżki, nie mogłyby mię nakłonić do tego, ażebym doradzał ci rozstać się z mężem, gdyby pożycie z nim było możebnem, ale w tym wypadku, dla ocalenia honoru naszego domu, ty, ukochana moja córko! powinnaś się wyrzec tego związku.

Anna odpowiedziała tylko głośném łkaniem, klęcząc ciągle u stóp ojca.

— Nie płacz dziecię moje, powstań i odpowiedz na me pytanie, czy zgadzasz się na rozłączenie z księciem twym mężem?

— Boże mój! zawołała Anna, wznosząc wielkie błękitne oczy, cóż mam ci odpowiedzieć ojcze? Po chwili patrząc na spokojną twarz cześnika, dodała z boleścią: Wybacz, wybacz ojcze mój dobrodzieju i nie przeklinaj twego dzieka!

— Co mówisz Anno? zkąd myśl podobna mogła powstać w twéj głowie? uspokój się drogie dziecko i otwórz mi twoje serce, jako przed ojcem, który cię kocha nad życie, nad wszystko po Bogu, na świecie..

To powiedziawszy, objął czule jéj głowę i przytulił do piersi.

— Zgrzeszyłam ojcze mój i dobrodzieju, bo miasto wyznać ci szczerze, długo, z obawy twego gniewu, ukrywałam nieszczęśliwa...

Głośne łkania, przerwały dalsze wyznanie.

— Ukrywałaś Anno?

— Tak jest... tak... wybacz mi najdroższy ojcze, ale wszyscy jesteście w błędzie.. Książe Marcin Lubomirski nie jest dotąd wcale mym mężem.

— Anno!... zawołał zdziwiony cześnik, zrywając się pośpiesznie z krzesła.

— Co znaczy więc akt ślubu przysłany mi przez księcia Marcina?

— To znaczy... że książe Marcin chciał mię ocalić przed surowością twego gniewu i za-

słonić przed światem... to znaczy, że chciał mi dać dowód swéj wierności, poprzysiągł bowiem, że skoro tylko wydostanie się z rąk nieprzyjaciół, którzy śledzili jego krok każdy, zawrze ze mną uroczyście związek małżeński... tymczasem, znajomy jego, ksiądz Szaniawski wydał dokument, który żadnego jednak niema znaczenia.

— Tak jest, tak, żadnego nie ma znaczenia!.. Ty więc Anno... ty, Wyleżyńska, córka moja i śp. Teressy, najdroższéj méj małżonki, ściągnęłaś na dom nasz taką infamję i zataiłaś prawdę przed ojcem, który, w zbytniéj dobroci, otworzył ci drzwi rodzicielskiego domu...

— O! nie przeklinaj mię ojcze.... przysięgam ci na pamięć najdroższéj matki, że miłość nasza była czysta przed Bogiem i że jedynie złość ludzka, a nakoniec gniew rodzicielski księcia Miecznika, stanął na przeszkodzie do uświęcenia tego związku!

Kiedy składając ręce Anna wymawiała te wyrazy, Cześnik stał o kilka kroków od niéj, a na jego twarzy różne malowały się wrażenia, w miarę jak wpatrywał się w anielskie chociaż dotknięte ogromną boleścią, oblicze Anny, uczucie gniewu ustąpiło miejsca politowaniu i miłości, więc ze łzami w oczach, zawołał drżącym od wzruszenia głosem.

— Wierzę, wierzę dziecię moje, że jesteś czystą jak anioł i niewinną, nie płacz już, dość tych łez wylanych w tak młodych wiośnianych latach.... wybaczam ci wszystko.... jak pewnie wybaczył ci Bóg i cienie matki, która błogosławi ci z góry!

— Dzięki ci ojcze, dzięki! zawołała Anna, rzucając się do nóg Cześnika, który ją podniósł i z rozczuleniem przytulił do łona.

— Ale mam jeszcze wielką prośbę najłaskawszy ojcze, rzekła po chwili Anna wznosząc łzami zroszone powieki. Nie odmawiaj mi drogi ojcze, jest to ostatnia prośba w mem życiu, którą w pokorze zanoszę do ciebie. Świat ten jest zamknięty dla mnie.... ale Bóg mi wybacza i przyzywa mnie do siebie.... słyszę dniem i nocą głos mego dobrego anioła, który mi rozkazuje ażebym poświęciła ostatek dni moich Panu, który mię najprzód wysłuchał i pocieszył w mem strapieniu. Ojcze, najłaskawszy mój dobrodzieju, dozwól mi zamknąć się w cichych murach klasztoru, tam znajdę jedyny spokój, tam złość i potwarz ludzka mnie nie dosięgnie!

— Chcesz mie więc opuścić Anno, chcesz osierocić starego ojca, którego jesteś jedyną podporą i pociechą w życiu?

— Opuszczę cię ojcze, aby myślą i sercem ciągle żyć z tobą; modlitwa i samotne życie w klasztorze obdarzy mię spokojem i siłą do pokonania cierpień, téj siły nie znalazłabym nigdy w obcowaniu z ludźmi, których widok tak bolesne przywołuje mi wspomnienia....... Wybacz ojcze mój dobrodzieju, wysłuchaj méj serdecznej prośby i pobłogosław twe dziecię!

To powiedziawszy uklękła Anna, składając ręce jak do modlitwy, jéj twarz była dziwnie piękna w téj chwili, jéj wymowne oczy świeciły jakimś nadziemskim blaskiem.

— Bądź święta wola twoja panie! rzekł Cześnik wznosząc ku niebu oczy, poczem znakiem krzyża świętego przeżegnał córkę: "Błogosławię ci Anno, a niechaj Bóg błogosławi cię w niebie!„

XII

Już od sześciu miesięcy przebywał książe Marcin Lubomirski jako więzień w twierdzy Budzie. Ksiądz Drużbacki nie omieszkał zawiadomić go natychmiast o postanowieniu Anny Wyleżyńskiej i o przyjęciu ślubów zakonnych; wieść ta, jakkolwiek rokowała mu uwolnienie, poruszyła najżywszą strunę jego serca, kochał Annę bowiem całą siłą młodzieńczego uczucia; pod wpływem więc samotności i smutnych wrażeń, upadał widocznie na siłach i zachorował ciężko. Komendant twierdzy, feldmarszałek hrabia Hadik posłał nieszczęśliwemu młodzieńcowi doktora, który przez cały ciąg zimy odwiedzał go codziennie, ale sztuka lekarska nie skutkowała wcale, dopiero z nadejściem wiosny młody więzień zaczął powracać do zdrowia, świeże powietrze wywarło ten wpływ zbawienny; komendant bowiem dozwolił mu przechadzać się codziennie, w rannych godzinach, w cieniu ogrodu należącego do jego pałacu. Tymczasem ksiądz Drużbacki przedstawił stryjowi Marcina księciu Franciszkowi dowody, jako synowiec jego nie jest związany żadnym ślubem z panną Wyleżyńską, a zatem na mocy testamentu ś. p. Miecznika, uwolniony być powinien z więzienia, termin bowiem lat dwóch wyznaczony, upływał niezadługo. Przedstawienia księdza Drużbackiego nie otrzymały dotąd pożądanego skutku, książe Franciszek Lubomirski pod rozmaitemi pozorami odkładał chwilę oswobodzenia synowca, równie okazał się nieczuły na częstokrotne listy Marcina z Budy, w których tenże przypomina mu życzenie umierającego ojca, jako też na instancję siostry księżny Sapieżyny i innych krewnych i przyjaciół domu. Więzień nasz na ponawiane korrespondencje żadnej nieodbierał odpowiedzi, księża tylko dawni nauczyciele jego Drużbacki i Konarski pocieszali go w tej niedoli, ostatni długie pisywał listy, w których, mu zaleca cierpliwość, czyniąc nadzieję bliskiego uwolnienia, zachęca go do zamiłowania cnót obywatelskich, których kraj od niego domagać się ma prawo, a do okazania których, wkrótce obszerne otworzy mu się pole. Tak upłynęła księciu Marcinowi zima i wiosna, przechadzka i czytanie książek było jedyną jego rozrywką; hrabia Hadik dostarczał więźniowi wszystko, co tylko należy do wygody i zabawy, nie przyjmował go jednak do swego domu, ze względu wątpliwéj jego konduity w przeszłości, jakoż dla wszystkich mieszkańców Budy młody więzień polski był zagadko-

wą, tajemniczą postacią, najsprzeczniejsze powtarzali o nim w kołach towarzyskich wieści, to też od pewnego czasu książe Marcin stał się przedmiotem ciekawości mieszkańców, mianowicie kobiet, które tłumnie nawiedzały kościół, w którym więzień, w dnie świąteczne, słuchał mszy świętéj.

Komendant twierdzy, feldmarszałek Hadik, miał wielkie łaski u dworu, odznaczył się wysokiemi zdolnościami i męztwem w czasie wojny siedmioletniéj, ozdobiony był wielkim krzyżem Marji Teressy za zasługi wojskowe. Dom hrabiego Hadika składał się z jego żony, dwóch synów i tyluż córek; pani hrabina odznaczała się niegdyś niepospolitemi wdziękami, których ślady pozostały dotąd w szlachetnych i wyrazistych rysach, miała ona wszystkie przymioty, będące cechą kobiet tak zwanego wielkiego świata, dumną była ze swoich stosunków rodzinnych i wysokiego stanowiska męża, lubiła przepych i zabawy, łączyła z ogładą towarzyską dowcip i znajomość ludzi, ale najwięcej zdobiącym ją przymiotem była troskliwość w wychowaniu dzieci. Syn najstarszy, Franciszek Hadik, był porucznikiem gwardji i znajdował się obecnie w Wiedniu, młodszy zaś August, miał dopiero lat trzynaście i wychowywał się w domu. Starsza córka Anna, miała wtenczas lat 18, była to śliczna upudrowana blondynka z niebieskiemi oczami, z rysami twarzy ściągłemi, każde jéj wejrzenie, każdy uśmiech, zdradzał duszę wrażliwą, pełną uczucia, wdzięczném obejściem, jednała serca tak kobiet jako też mężczyzn, to też wszyscy mieszkańcy Budy nazywali ją powszechnie piękną i miłą Anetką. Młodsza córka Hadików, Marja Franciszka, liczyła lat piętnaście, niepodobna do starszéj siostry ani z rysów twarzy ani też z ułożenia, miała bowiem twarz okrągłą, rumianą, a pomimo ognistych i wyrazistych czarnych oczów, była powolną w ruchach i w mowie, słowem cały jéj układ był nad wiek poważny i melancholiczny. Anna Hadik czytała kilka romansów, który to rodzaj pisania zaczął już upowszechniać się na zachodzie, ale więcéj nierównie niż książki, rozwijały jéj wyobraźnię opowiadania o różnych romansowych przygodach, które krążyły wówczas w towarzyskich kołach, wyższéj warstwy społeczeństwa. Od czasu przyjazdu księcia Marcina do Budy, nasłuchała się Anna wielu niestworzonych bajek, które przytaczano jako prawdziwe przygody jego przeszłego życia, między innemi podawano za pewne, że młody więzień miał już piętnaście pojedynków w swem życiu, a w każdym pokonał rywala, z powodu zaś skandalicznéj historji na dworze króla, skazany został, przez własnego ojca, na lat piętnaście więzienia, to jest odpowiednio do liczby odprawionych pojedynków; o szczegółach ostatniej historji nie wiedziała Anna, stare bowiem matrony powtarzały takowe po cichu, nie chcąc obrazić skromności dziewiczéj. Niedopowiedziana karta w życiu księcia Marcina, zaostrzyła ciekawośc Anny, która zobaczywszy pięknego młodzieńca po raz pierwszy w kościele, następnie z okien pałacu przechadzającego się w ogrodzie, otoczyła go niewymownym urokiem tajemnicy, następnie postanowiła, nie uważając na żadne przeszkody, zapoznać się z nim bliżéj. Książe Marcin przechadzał się zawsze pod dozorem żołnierza przeznaczonego z warty, który nie spuszczał go z oka, Anna zaś życzyła sobie spotkać się z nim bez świadków; rozmyślała więc, siedząc samotna w swojéj panieńskiéj komnacie, jakby dopiąć mogła najsnadniéj zamierzonego celu, kiedy weszła jéj ukochana służąca Urszula. Była właśnie godzina 9ta z rana, o któréj zazwyczaj więzień wychodził na przechadzkę, rodzice Anny zajmowali pokoje z innéj strony pałacu, młodsza siostra Marja wyszła już do kościoła, uważała więc Anna że najłatwiéj o téj porze spotkać się może z młodym księciem w ogrodzie, wypada jéj tylko zabezpieczyć się ze strony żołnierza, ażeby nie był zbyt natrętnym świadkiem ich widzenia się lub rozmowy, postanowiła więc użyć za parlamentarza w téj sprawie Urszulę.

— Mam do ciebie wielką prośbę droga moja Urszulo! rzekła pieszczotliwie przechylając na bok z uśmiechem główkę.

— Jestem gotowa na usługi; co mi panienka rozkaże?

— Znasz pięknego polskiego księcia, który w rannych godzinach przechadza się po naszym ogrodzie?

— Któżby go nieznał najdroższa panienko, on taki piękny i dobry, zawsze skoro mię spotka wita się ze mną, czasem nawet zagada do mnie po niemiecku, bo on taki uczony że podobno wszystkie, jakie są na świecie, zna języki..... tak młody i piękny, a tak już nieszczęśliwy, mój Boże!.....

— Otóż moja Urszulo musisz zrobić mi jedną łaskę i dopomódz ażebym mogła poznać lepiéj tego księcia, ale niech żołnierz nie chodzi krok w krok za nim i stanie nieco opodal, bo wiesz.... że nie śmiałabym zbliżyć się do niego; dasz mu za to odemnie ten czerwony złoty“..... To powiedziawszy wsunęła pieniądz w rękę Urszuli, która przysięgła wywiązać się najsumienniéj z danego polecenia.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Widok miasta Rzymu

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY WE WŁOSZECH.

List drugi A. E. Odyńca

do pani Aleksandry Borkowskiéj.



Jeśli jest lub być może na świecie jakiekolwiek upominanie się miłe, to chyba tylko redaktorów, a cóż dopiero redaktorek, o drugi artykuł u autora, kiedy już pierwszy wydrukowany został. Lubo więc, co do mnie, wiem dobrze, że każdy dziennik jak okręt, zarówno potrzebuje balastu jak ładunku, nie wchodząc wszakże na jaki z tych dwóch celów ramoty moje posłużą, wolę być bezwarunkowo posłusznym i w dalszym ciągu wspomnień z podróży, posyłam pani dwa obrazki: Karnawału i Wielkiego Tygodnia w Rzymie, jak je sam kiedyś widziałem i skreśliłem wtedy z natury.

Obyczaj Karnawału, jak i jego nazwa, są zarówno pochodzenia włoskiego. (*Carnevale Mięsopust.*) Zabytek owych Saturnaliów, tak niegdyś w starożytnym Rzymie ulubionych, jest on dotąd narodową uroczystością we Włoszech, wspólną wszystkim ich krajom i miastom. Stolicą jego przedtem była Wenecja. Dziwne to miasto, zarazem do kamiennéj floty i do labiryntu podobne; z tysiącem swych krętych uliczek, krzyżujących się mostków; kanałów i tajemniczych gondoli; z placem Ś. Marka, do balowéj sali raczéj podobnym; zdaje się być przeznaczoném na miasto tajemnic, intryg, biesiad i maskarad, stanowiących główną zabawę karnawałów włoskich. Lecz minęły dla Wenecji czasy wesela i uroczystości. Do Rzymu dziś spieszyć musi podróżny, na pierwszy i ostatni tydzień Wielkiego postu, jeśli chce widzieć najwspanialszy kościelny obrządek i najweselszy w świecie karnawał. Najweselszy, bo kto nie był świadkiem wesołości włochów, ten, możnaby powiedzieć, nie wié co jest wesołość.

W całém Chrześcijaństwie, tydzień zapustny przeznaczonym jest zwykle na zabawę; lecz w innych krajach po miastach bawią się tylko niektórzy: w Rzymie lud cały—lud włoski. Gdzieindziéj teatrem zabaw są ciasne domy i natłoczone sale, tu całe miasto—Rzym! Podobnaż różnica w ludziach. My np. bawimy się najczęściéj, dla przepędzenia nudów i czasu; włosi dla użycia radości. Niemiec rad bawić się tylko drugimi—obserwacją; francuz tylko dla drugich—popisywaniem się; włoch bawi się w sobie i dla siebie—uczuciem. Ztąd upodobanie włochów w maskaradach; bo maski zapewniają im najpotrzebniejszy warunek zabawy — swobodę. Niemcy mniéj w nich znajdują powabów, bo jużciż lepiéj jest uważać cudze twarze niż maski; francuzi dla ubiorów chyba je lubią; bo sami woleliby raczéj okazywać się tylko, nie taić. Włochowi służą one do obudzenia jego wyobraźni, a ta mu za wszystko wystarcza.

Za bytności méj w Rzymie, 1830 roku, karnawał z większém niż kiedy oczekiwany był utęsknieniem; gdyż właśnie w poprzedzającym roku, śmierć Leona XII papieża, pozbawiła była mieszkańców wszelkich zabaw publicznych. Od ostatniego dnia adwentu, był on już głównym przedmiotem zajmującym myśl i wyobraźnię ludu. Ilekroć zdarzyło mi się przechodzić przez ludniejsze ulice lub rynki, gdzie się lud prosty z okolic codzień na targi zgromadzał, nie było pewnie minuty, ażebym tu lub owdzie, wpośród zgiełku i wrzawy, słowa: „Carnevale“ nie usłyszał. Ilekroć, jako cudzoziemiec, wdałem się z rzymianinem w rozmowę o jego mieście, żaden z nich nie zaniedbał zapewniać mię uroczyście, że wszystko, co mi się w niém dotąd podobało, jest niczém w porówniu z ową rozkoszą, jakiéj bezwątpienia doświadczę, zobaczywszy rzymski karnawał. „Byle tylko papież nie umarł!“ dodawał z westchnieniem każdy prawie mówiący, ściskając ramionami i wznosząc oczy ku niebu. Ta jednostajność obaw i jakaś tajemniczość przy ich wyrażaniu, zwróciły moję uwagę. Mówiąc więc o tém z jednym adwokatem, światłym i dojrzałym człowiekiem, zdziwiło mię niewypowiedzianie, kiedy na zapytanie ażali Ojciec św. jest tak słaby czy chory? usłyszałem odpowiedź: że wprawdzie nie ma się on tak źle bardzo w téj chwili, ale „że *musi* umrzeć w tym roku.“ (*Ma il deve morire quest' anno.*)“ Dziwne to słowo *musi*, wymagało koniecznie objaśnienia. Jakoż dowiedziałem się naówczas po raz pierwszy, o czém póź-

niéj nie sto razy słyszałem, że już od czasów Piusa VII, krąży i znajduje powszechną wiarę przepowiednia, oznaczająca rok śmierci trzech po sobie następujących papieżów, która się już na nim samym i na jego uastępcy ziściła (*) Panujący naówczas Pius VIII wiedział jakoby o niéj i gotował się do bliskiéj swéj śmierci. Nie wiém jak dalece to prawda; ale co w publiczności, to nie zdarzyło mi się spotkać nikogo. coby miał w tém najmniejszą wątpliwość i śmiało możnaby dodać, że pewno żaden naród nie troszczył się i nie prosił gorliwiéj o przedłużenie życia swojego monarchy, choćby tylko do popielcowéj środy. Jakoż spełniły się życzenia, i w sobotę, przed niedzielą zapustną, o godzinie drugiéj z południa. dźwięk dzwonów i wystrzał z działa na zamku ś. Anioła, ogłosił pożądane hasło karnawału.

Główna ulica *Corso*, przerzynająca wzdłuż całe prawie miasto, na któréj się maskarada odbywa, zaczerniła się, w mgnieniu oka, mnóstwem niezliczonego ludu: rzekłbyś, że wszyscy, w sieniach domów zamknięci, hasła tylko do wyjścia czekali. Po obu stronach ulicy, przy murze, wznosiły się już ustawione w amfiteatr proste drewniane ławki, lub plecione ze słomy krzesła, na drewnianych podwyższeniach stojące, które spekulanci, lub sami właściciele domów, każdy przed swoim, do najęcia stawiają. Ze wszystkich okien wywieszone różnobarwne kobierce, albo adamaszkowe, galonami bramowane opony; wszystkie krużganki uwieńczone zielonemi wiankami i kwiatami; wszędzie wesołe twarze, ożywione giesta, wszędzie ruch, gwar, zgiełk, śmiechy i głośne rozmowy, zwiastowały powszechne wesele i prawdziwie narodową uroczystość. Uniesienie, prostego zwłaszcza ludu, tak się zdaje burzliwe, że niegdyś, by je powściągać i zagrozić zbytniéj swawoli, miano zwyczaj wraz z pierwszém hasłem karnawału, tracić, dla zbawiennego przykładu, skazanego już na śmierć winowajcę, którego często lat kilka po wyroku na ten koniec w więzieniu trzymano. Zwyczaj ten dziś już nie istnieje i żadne smutne wrażenie nie mąci wesołości publicznéj; chyba że nad Sabińskiemi górami, nad śnieżném czołem Sorakty gromadzące się chmury, niepogodą zagrożą. Naówczas po wszystkich kościołach nakazuje się nabożeństwo o pogodę z wystawieniem Przenajświętszego Sakramentu; —Rzymianie tak są przekonani że Bóg ich zabawami opiekować się raczy; że choćby deszcz jak z wiadra lał rano, każdy się niemniéj przeto na popołudniową maskaradę gotuje, pełen ufności, że się niebo rozjaśni. Jakoż słyszałem od osób, bawiących przez lat wiele w Rzymie, że w rzeczy saméj tak bywa.

Za drugim wystrzałem z działa, całe wojsko papiezkie, jazda i piechota, przeciąga w największéj paradzie przez Corso, tam i nazad, gęste za sobą zostawiając straże. Trzeci wystrzał oznacza tryumfalny wyjazd najpierwszego ze świeckich urzędników, noszącego dotąd wspaniały tytuł „Senatora Rzymskiego“, który ubrany w złotogłowéj szacie, krojem XV wieku, w niemniéj staroświeckiéj, poszóstnéj, ze szklannemi ścianami karecie, poprzedzony przez laufrów, mając za sobą dwie podobneż karety, orszak jego wiozące, objeżdża wolnym krokiem główniejsze miasta ulice, udając się do Kapitolu, gdzie we spaniałéj sali, na tronowém krześle zasiadłszy, odbiera ponawiającą się corocznie przysięgę wierności, od żydów w Rzymie mieszkających. Obrządek ten niegdyś ważny w istocie, dziś jest już tylko czczą formą. Rabin, na czele deputacji, ubrany czarno, we fraku i w materjalnym płaszczyku, do stroju księży podobnym, zbliżywszy się pokornie do tronu, w krótkiéj lecz ozdobnéj mowie, upraszał o pozwolenie dalszego w Rzymie pobytu. Otrzymawszy je, przyklęknął u nóg senatora, i składając na znak hołdu ogromny pęk kwiatów, wymówił głośno dawną rotę przysięgi. „*Giuro la fedelta al senato ed al popolo romano*“ (Przysięgam na wierność senatowi i ludowi rzymskiemu). Senator przyjął kwiaty i rabina nogą potrącił; zabytek upokarzających obrządków, przez które niegdyś, chociaż dając opiekę, chciano przecież pogardę dla niewiernych okazać. Kiedyś także żydzi musieli dla zabawy ludu biegać codzień do mety przez ciąg karnawału; dziś miejsce ich zastępują konie; żydzi tylko muszą składać podatek na koszta tych wyścigów i na nagrodę zwycięzcy.

Gdy się to dzieje w kapitolu, na ulicach tłok się coraz powiększa. Zaraz po przejeździe senatora, powozy mają prawo wjeżdżania na Corso i tu się rozpoczyna właściwy karnawał, od zapustnéj soboty do ostatniego wtorku, jednostajnym sposobem codzień, oprócz niedzieli, od południa do wieczora trwający.

Czytelnik chcący ze słów niedokładnych powziąść o nim jakiekolwiek wyobrażenie, musi sobie stawić długą na rzut oka ulicę, ciągnącą się jak ozdobny kurytarz, między dwiema przepysznemi salami, między placem *del popolo* z jednéj, a placam *di Venezia* z drugiéj strony; zapchaną od końca do końca gwarliwem mnóstwem różnobarwnych ubiorów i masek; podobną do płynącéj rzeki głów ludzkich, nad któremi jak statki na wodzie, wznoszą się we dwóch rzędach powozy, tam i nazad zwolna idące, których koni w tłumie nie widać. Wszystkie okna od góry do dołu, nakształt żyjących obrazów, zapełnione rzędami, piętrcmi, piramidami twarzy, piór, kwiatów, czepków i kapeluszów kobiecych. Wszyst-

(*). Przepowiednia ta oparta, na liczbach, była następująca: Pius VII nastąpił po Piusie VI; 7 a 6=13: dodać 10=23. Pins VII umarł w r. 1823. Po Piusie VII nastąpił Leon XII; 7 a 12=19; dodać 10 =29. Leon XII umarł w r. 1829. Po Leonie XII nastąpił Pius VIII; 12 a 8=20; dodać10,=30. Pius więc VIII miał umrzeć w r.1830. jakoż umarł we Wrześniu.

kie krużganki, otwarte lub jaskrawemi namiotami przykryte, nie mniéj licznych zawierają widzów, jeśli ci widzami tylko chcą zostać; gdyż zwykle osoby, na krużgankach stojące, należą do najczynniejszych aktorów sceny, jaka się pod niemi odbywa. Oba wyżéj wspomniane place, pomimo swéj obszerności, nie różny od ulicy wystawiają obraz i natłok. Lecz próżnoby kto w całym tym tłumie chciał szukać kosztownych strojów, dowcipnych karykatur i masek; próżnoby nadstawiał ucha, by słyszeć dowcipne rozmowy lub tajemnicze przycinki masek, stanowiące główną zabawę naszych zwyczajnych maskarad. Nie widać tu prawie nic więcéj, prócz weneckiego arlekina w kołpaku, rzymskiego pajazza, w pstrym stroju, napolitańskiego polliszynela z makaronem w ręku i w ustach; adwokata w dawnéj peruce, doktora z podkasaną togą i z pewném lekarskiém narzędziem w ręku i t. d. Role te pospolicie są mówne; obierają je zwykle najżwawsi i najweselsi, ufni w swój dowcip i płuca. Trudno jednak słyszeć co więcéj, prócz głośnych wykrzyków i śmiechów; a jeśli gdzie kilka zebranych masek zaczną z sobą dłuższą rozmowę, ta się bynajmniéj do ich ukrytéj osobistości nie ściąga; lecz owszem, utrzymując każda swój przybrany charakter, odgrywają między sobą z natchnienia jakąś dramatyczną scenę, którą zebrany tłum widzów, podług zasługi aktorów, gwizdaniem lub oklaskami nagradza. Przedmiotem niemych, satyrystycznych masek, są najczęściéj niedobrane małżeństwa: nizki staruszek obok olbrzymiéj połowicy z wąsami; wychudły młokos przy opasłéj matronie i t. p. Daléj następują domina i różne narodowe ubiory. Na placach widać niekiedy całe grona masek, wystawujące pantomiczne sceny. I tak np. na placu *del Popolo* widziałem bandę zbójców, napadniętych niby i broniących się od żołnierzy. Żołnierzami były słomiane bałwany, w czerwonych mundurach, których zbójcy nożami i kolbami kłuli i zabijali. Scena ta, obudzająca wstręt i odrazę w oświeceńszych widzach, znać było że się bardzo podobała ludowi, który śmiejąc się, klaszcząc i wykrzykując: *bravo!* coraz tłumniéj rozbójników otaczał.

W powozach częściéj dają się widzieć kosztowniejsze ubiory i maski, lecz i tu najpospolitszym konceptem jest furman przebrany za kobietę z wąsami. Większy przepych lub dowcip, można być pewnym, że cudzoziemca oznacza. Widziałem jak dwaj Anglicy, sami nie maskowani, przebrawszy pudla za kawalera rzymskiego, posadzili go między sobą w karecie; lecz oburzywszy publiczność tym żartem, wszyscy trzéj poszli do kozy. Z krajowców nikt tu bynajmniéj nie sadzi się na ubiory i maski, gdyż każdy sam ogólną zabawą zajęty, zdaje się zapominać o sobie; nie chce i nie usiłuje, aby na siebie tylko oczy drugich obrócił. Toż samo dzieje się z dowcipem. Ktoby chciał w tém powszechném zamieszaniu i gwarze odznaczyć się i bawić drugich swoją rozmową może być pewny, że i sam się znudzi i nie znajdzie słuchaczów, a chociażby i znalazł, ci go niedosłyszą za wrzawą.

Innego tu wcale rodzaju ogniwo łączy pospołu całe towarzystwo, bez różnicy stanu i wychowania—ogniwem tém są tak zwane *confetti*. Mają to być i powinny, kminkowe białe cukierki; są zaś wistocie wapienne białe kamyki na wzór cukrów robione, któremi wszyscy bez wyjątku, w maskach czy bez masek, znajomi czy nieznajomi, mają prawo i przywilej ciskać sobie nawzajem w oczy. Żart ten, prawie zawsze boleśny, jest najulubieńszą zabawą, pobudką najgłośniéjszych okrzyków i śmiechów, główną cechą karnawałów włoskich. I w rzeczy saméj, jemu to przyznać należy ową poufałość, swobodę i pustotę dziecinną, która owoczesne zabawy włochów, od zabaw wszystkich innych narodów odznacza. Patrząc wzdłuż ulicy, rzekłbyś, że najgęstszy grad pada, tak bezprzestannie powietrze zaćmione jest białą chmurą w górę i z góry lecących *confettów*. Piechotni niosą je w ręku w długich papierowych pakach, trzymając wysoko i chroniąc starannie, ażeby obca ręka, sięgnąwszy do paczki, własnéj przeciw nieostróżnemu broni nie użyła. Jadący w powozach, mają je obok siebie w naczyniach lub w formalnych worach stojące; sypią niemi na wszystkie strony, grzecznym pierwéj ukłonem powitawszy znajomych, i sami parasolikami, w miejscu puklerzy, zasłaniając się od wzajemnych pocisków. Ostróżność ta jest mianowicie potrzebną omijając niektóre balkony, do zbrojnych bateryj podobne. Biada powozom, które ciżba pod niemi zatrzyma; chyba, że śmiały obrońca, wskoczywszy na siedzenie lub kozioł, trafnym od razu rzutem zasypie napastnikom oczy i cofnąć się z placu przymusi; albo też błagające wołania dam zmiękczą srogość zwycięzców. W takim razie, jeżeli zwłaszcza damy są znajome lub piękne, często dla osłodzenia poprzedniczéj klęski, osypują je zlekka powtórnym gradem, nie już wapiennych, lecz prawdziwych „pańskich konfettów“, (*confetti da signore*), albo pęczkami fijołków. Jedne i drugie, skoroby chybiwszy powozu, na ziemię upadły, stają się natychmiast łupem małych chłopców, co jak delfiny za okrętem, upędzają się za powozami *delle belle signorine*, w nadziei podobnéj zdobyczy. Szczególniejszy ten orszak, biegnący za wozem piękności, możnaby było przyrównać do amorków, gdyby brudna ich odzież i twarze, podkasane nogi i ręce i nocna szlafmica na głowie, zapędów imaginacyi nie psuły. Stare dziady w podobnymże stroju, uwijając się po ulicy, z ogromnemi koszami na plecach, każdemu, za lichą cenę, wapiennéj ammunicji dodają. Próżnoby kto w tym powszechnym boju chciał neutralnym pozostać, najcierpliwszy ujrzy się w krótce zmuszonym do użycia praw własnéj obrony. Widziałem kilkunastu młodych malarzy niemieckich, którzy na jednym

wozie, mirtem i dębowemi liściami uwieńczonym, sami za Druidów przebrani, jechali nie mając konfettów i spokojną kontemplacją zajęci, znosili cierpliwie z założonemi rękoma ciosy kamienistego gradu. Lud rzymski, nieczynnością ich oburzony, sypał je na nich ze szczególną zawziętością, biegnąc za ich powozem i krzycząc: *difendetevi tedeschi, difendetevi!* („brońcie się niemcy, brońcie!") Upomnienia te ustne i ręczne, tak się sprzykrzyły na koniec cichym kapłanom lasu, że zaopatrzywszy się w dwa ogromne wory wapienników, tak nawzajem dali się we znaki, że gdziekolwiek wóz ich się zazielenił, słychać było różne wcale od pierwszych okrzyki: *guardatevi, fuggite, ecco vengono i tedeschi,* („strzeżcie się, uciekajcie, oto zbliżają się niemcy!")

Najstraszniejszymi przeciwnikami w téj wojnie, są zazwyczaj anglicy. Krużganek ich ambassady i drugi leżący naprzeciw, przez jakiegoś lorda najęty, były prawdziwą Scyllą i Charybdą, których nikt ani się ustrzedz, ani bez szkody ominąć nie mógł. Słyszałem opowiadających, że w Neapolu, przed kilku laty, bawiący w tém mieście anglicy, zbudowawszy z desek wspaniały okręt, na bardzo wysokim wozie, przez sześć wołów ciągniony, którego pokład do wysokości okien pierwszego piętra dochodził, powybijali konfettami wszystkie prawie szyby na ulicy Toledo. Nikt jednak za tę szkodę do odpowiedzialności pociągnąć ich nie śmiał; gdyż bez dowodu że to umyślnie zrobili, roszczenie prawa do zapłaty, byłoby ubliżeniem swobód karnawałowych, które każdy włoch w drugich, dla samego siebie szanuje. Jakoż dziwić się trzeba, że w tak różnorodnéj massie ludu, z natury do porywczości skłonnego, i przy tak dotkliwéj zabawie, nie widziałem i nie słyszałem nawet o żadnéj kłótni, z tego powodu wynikłéj. A jednak wiém z doświadczenia, jak trudno się wstrzymać od piérwszego uczucia gniewu, gdy kto znienacka kamieniami w twarz sypie, od których ból, nawet i przez suknię dochodzi. Wolno oddać, jeśli się uda, ale się obrażać nie godzi. I wyznać trzeba, że na tym punkcie, panuje zupełna równość. Najmniéjszy chłopczyk może podbić, a choćby i wybić oczy najbogatszemu panu, nie lękając się w najmniejszéj części losu owego Ezopowego chłopca, którego, jak wiadomo, dowcipnie mszczący się mędrzec do podobnéj kiedyś psoty namówił. Ilość zużytych konfettów jest miarą wesołości dnia; im więcéj widzisz plam białych na sukniach, a sinych i czerwonych na twarzach, tém pewniéj możesz zaręczyć, że się bawiono wesoło. Dopiéro o godzinie szóstéj wieczorem, wystrzał z moździerza, na placu *del Popolo*, daje hasło zawieszenia broni — do jutra. Natychmiast wszystkie powozy zjeżdżają w boczne ulice, piesza zaś publiczność ciśnie się do domów, do okien lub zasiada za opłatą ławki i krzesła, koło murów stojące. W kilka minut ulica staje się środkiem całkiem pusta i bieląca się, jak śniegiem, massą zdeptanych konfettów.

Zaczyna się akt drugi codziennéj zabawy: kurs koni, (*Corso dei cavalli*), samemu tylko Rzymowi właściwy. Nie są to zwykłe w innych krajach wyścigi, gdzie się jeźdcy na koniach ubiegają do mety; tu same tylko konie, w zastępstwie żydów, jak się rzekło wyżéj, bawią chciwą widowisk publiczność. Gdy za drugim wystrzałem z moździerza, oddział konnych żandarmów przeleci w największym pędzie ulicę i przekona się, że wszelkie zawady uprzątnione zostały; powrót jego na plac *del Popolo* jest hasłem do puszczenia koni (*mossa dei cavalli*).

Na samym środku rzeczonego placu wznosi się wysoki drzewniany amfiteatr, o egipski obelisk oparty i czerwoném suknem okryty; miéjsce najdroższe ze wszystkich. Przed nim ustawiają się na prędce przeoryny, wtykając je ostremi końcami do gotowych już w ziemi otworów. *Barbareski,* (tak się zwą masztalerze z turecka ubrani,) prowadzą po dwóch i czterech, rżące i wspinające się konie, które z najlepszych stad wzięte, nie starsze nad lat trzy i całkiem niejeżdzone być powinny. Cała sierść popisana biało, każdego swoim numerem; nad czołem ogromna kita z piór, coraz innego koloru, mają nadto poprzywiązywane do boków kawałki cienkiéj blachy lub złocistego papieru; którychby szelest straszył je i naglił do biegu. Oprócz tego masztalerze, stawając w przeorynach, biją je, kolą, smagają i krzyczą przeraźliwie, aby je jak można rozżarzyć. Za trzecim strzałem z moździerza, dźwięk trąb daje hasło puszczenia. Sznur wyciągnięty przed przeorynami upada, i konie, raz jeszcze biczem zacięte, puszczają się jak szalone, ażeby uniknąć hałasu. Próżna wszakże nadzieja nieszczęśliwych zwierząt, trafiają z deszczu pod rynnę. Wszystko co żyje na ulicy, krzyczy, gwiżdże, klaszcze i macha rękoma, używając wszelkich sposobów, aby ich przestrach i zapał pomnożyć; tak że niekiedy, wbrew celowi, ogłupiałe i ogłuszone hałasem konie, zatrzymują się nagle wpół drogi, mniéj szybkiemu, lecz obojętniejszemu ustępując pierwszeństwa. Z drugiego końca Corso, przed placem weneckim, rozwieszone są płótna w szerz całéj ulicy; koń, co się pierwszy o nie uderzy, ogłasza się zwycięzcą i przynosi swemu właścicielowi nagrodę od 20 do 25 skudów: powiększającą się codzień i tak zwane *pallio* to jest kawał szkarłatnego sukna, trofei i drogą pamiątkę zwycięztwa. Jeśliby kilka koni razem dobiegło do mety, żaden nie bierze nagrody; pieniądze rozdają się na szpitale, a *pallio* zawiesza się w kościele ś. Antoniego Opata, patrona zwierząt, gdzie je corocznie na procesji, w dzień jego święta, obnoszą. Jak skoro konie przebiegły, tłum rozchodzić się zaczyna; spiesząc spocząć po domach, lub bawić się jeszcze w teatrach, gdyż nikomu już na ulicy znajdować się w masce nie wolno.

We Wtorek tylko zapustny, do dwóch poprzedzających, przydaje się jeszcze akt trzeci i ostatni: *Moccolli* albo *Moccoletti.* Są to

długie cienkie woskowe świeczki, które każdy na ulicy, w powozach, po krużgankach i w oknach, po kilka, kilkanaście i po kilkadziesiąt nawet, zapala, mieszcząc je wtedy na przytwierdzonych do końca kija, gwiaździe, krzyżu, lub kole. Cała zda się ulica gore jednym płomieniem. Wnet po przebiegu koni, maski i powozy wracają. Ruch, zgiełk, krzyk, zamięszanie większe jeszcze niż pierwéj; o konfettach nikt już nie myśli; teraz rzecz idzie o to kto komu świeczki pogasi. Na piechotnych dosyć dmuchnienia; do powozów trzeba szturmować, wskakiwać na stopnie lub z tyłu; albo chustką na kiju wiatr robić. Walka wesoła, lecz nierówna; łatwiéj wyższy niższemu dokuczy. Ztąd też i tu, jak w wojnie konfettów, grozą pieszych są powozy, grozą powozów są krużganki. Ztamtąd to spuszczają się płócienne chorągwie, pęki piór, wachlarze ze strzyżonego papieru, po sto świeczek razem gaszące. Hasłem napastników jest okrzyk: *é spento il carnevale* (zgaszony karnawał):—„ *Vive ancora!* "(Żyje jeszcze!)“ odpowiada z tryumfem napastowany, jeżeli świeczki swoje od gaszenia uchronił. Inaczéj musi prędko zapalać je na nowo, bo go zagłuszają okrzyki: „ *Vergogna senza moccoli,*“ „(wstyd bez świeczek!“) Każdy w tém chętnie drugiemu użycza pomocy i ognia, jeśli tylko, wziąwszy do zapalania, sam wraz ze świeczką nie uciecze. Nie podobna sobie wyobrazić tego blasku, zgiełku, hałasu. jaki w téj chwili na całéj ulicy panuje, Podróżny, który był świadkiem téj sceny, powtórzy, pewny jestem, wraz ze mną, że nigdy ani weselszéj, ani piękniejszéj nie widział.

(d. n.)

AUTO-BIOGRAFJA
MICHAŁA GRABOWSKIEGO.

Wyjątek z własnego listu dat: 26 października r. 1840 z Aleksandrówki.

(Dokończenie).

Napisałem więc dla *Bazylego Uszakowa*, spółpracownika Redakcji Telegrafu, obszerny, w języku francuzkim, wykład literatury polskiéj i polskiego klassycyzmu, i wskazywałem przyczyny z których się wyrodził, okoliczności które powołały do czuwania nad zachowaniem języka narodowego, do troskliwości o jego czystość, do pielęgnowania i wykształcenia, według istniejących w tym czasie wyobrażeń; ukazywałem że nawet w epoce tego klassycyzmu, w epoce wyśmiewanéj i przekleństwem okrytéj, kwitnęli jednakże dobrzy pisarze a nawet poeci, jako to: Woronicz, Brodzińscy, Górecki, Ryklewski, Tymowski i inni, tak więc nie było prawdą że dopiero po przełomie romantycznym powstaliśmy z niczego, a łatwo było dowieść, że nie byliśmy bez zasług i niejakiéj chluby gdzie się niczego podobnego cudzoziemcy, zwiedzeni gniewliwą philippiką Mickiewicza, niedomyślali. Kiedym późniéj czytał tę rozprawę Mochnackiemu i innym, przyznawali mi, śmiejąc się, że ja romantyk, lepiéj broniłem klassycyzmu, jak sami jego stronnicy. Przynajmniéj moja obrona nie została bez skutku. Przyznał mi słuszność *Uszaków*, i niebawnie przy dość szczegółowéj recenzji zamku Kaniowskiego, w 2ch numerach Telegrafu umieszczonéj, załączył oględniejszy i sprawiedliwszy obraz literatury polskiéj. Muszę także powiedzieć, że w tym czasie zacząłem probować pisać powieści, pierwsze były zupełnie nic warte; nakoniec wziąłem się do téj która teraz pod tytułem *Stannicy Hulajpolskiéj* wychodzi. Sześć, zda mi się, pierwszych rozdziałów, napisałem już wtedy, lecz zrażony zimnym przyjęciem z którym ich czytania słuchał Krachowiecki, i upatrując w jego milczeniu radę, żebym porzucił rzecz niewłaściwą dla mnie, tak uczyniłem, i dopiero po dziesięciu latach zawieszenia, wróciłem do kończenia téj powieści.

Główną jednakże moją myślą i projektem, było osnucie pisma periodycznego polskiego. Od czasu powrotu na Ukrainę i połączenia się z dwoma mojemi przyjaciołmi, układaliśmy ciągle ogłaszać w rodzaju roczników literackie prace nas trzech i czwartego Bohdana Zaleskiego, który miał zatrudnić się w Warszawie redakcją i drukiem. Zdaje mi się jednak, że przyczyną opieszałego współdziałania Zaleskiego (co projekt rozprzęgło) to było: że nie ufał swoim niewprawnym jeszcze w rzecz pisarską spółpracownikom, bał się więc narazi przez dziecinny dziennik, swoję coraz ustalającą się już sławę; w tym względzie miał wielką słuszność. Myślałem późniéj o dzienniku krytycznym, któryby centralizował niejako rozstrzeloną literaturę polską, w tym przep-

miocie znosiłem się listownie z Zaleskim a późniéj z Mochnackim, który nareszcie położył za *Conditio sine qua non* urzeczywistnienia tego zamiaru, przyjazd mój w 1830 roku do Warszawy. Wypełniłem to ochotnie, lecz za przybyciem tam w miesiącu Lipcu, mogłem zaraz, po zaprzątnieniu umysłów, spostrzedz że zaledwie projekt mój przyjdzie do skutku. Widywałem się jednak z wielu literatami, z Lelewelem, z Chłędowskim, z Kamińskim przybyłym wtedy ze Lwowa; mieszkanie moje w kamienicy Sakramentek na Nowym Mieście, było miejscem codziennéj schadzki dawnych i nowych przyjaciół: Zaleskiego, Goszczyńskiego, Mochnackiego, Ludwika Nabielaka, Xawerego Bronikowskiego, Fr. Grzymały, Ludwika Żukowskiego i wielu innych. Na nieszczęście, niebawnie różnice wyobrażeń w niektórych względach, okazały się między mną a niemi, zajątrzał je i pomnażał nieznośny dla mnie, a u przyjaciół moich używający niezasłużonéj wziętości, Józefat Bolesław Ostrowski, jedna z tych głów sofistycznych, i serc zawistnych, które tworzą głupich krzykaczy i przywodzców nierozmyślnych stronnictw. Nigdy nie przystawał i nie przystanie do mnie sposób myślenia, na dnie którego widać nieczyste podszepty osobistości; mój charakter, może moje odmiennego rodzaju wady, wzmagały moje oddalenie i przyszło do zupełnego nieporozumienia. Rzecz szczególna, że najdawniejszy mój przyjaciel Bohdan Zaleski, był tą razą organem obrażonych przezemnie, jak im się zdawało, moich przyjaciół. Miałem późniéj pociechę widzieć że wrócił mi swoje, dawno do mnie należące, serce; miałem większą nierównie, kiedy Maurycy M. kazał mi donieść, że o słuszności moich myśli przekonał się przez doświadczenie. Co bądź, wyjechałem we Wrześniu z Warszawy i powróciłem do domu niekontent i zrażony. Wtedy to, opuszczając myśl pracowania łącznie, w przedmiocie literatury narodowéj, postanowiłem nie oglądać się tylko na siebie i sprobować czy też osobnym dziełem nie potrafię wywrzeć użytecznego (według mnie) wpływu, na jéj stanowisko i postęp. Wtedy to napisałem połowę tego dzieła które w części ogłosiłem w 1m tomie *Literatury i krytyki* pod nazwą o *poezji XIX wieku.*

Pięć lat następnych, było w mém życiu zawieszeniem trudów literackich. Powoli tylko i z trudnością przezwyciężałem upadek ducha, wkraczałem na powrót na tór dawnych myśli i widoków. Zacząłem od ogłoszenia, w Tygodniku Petersburskim, urywka z mojego przerwanego dzieła; odzywałem się w nim w wielkich przerwach, z powodu tego lub owego nowo uznanego dzieła, i warte uwagi, tak co do mnie, jak co do wielu innych, dziś wystąpionych lub występujących pisarzy, że weszli na scenę w Tygodniku petersburskim, jedynym organie literatury polskiéj w naszych okolicach. Przedłużył on, utrzymał, a nakoniec odżywił już ustające jej życie. Rok 1835 ważny był w mojém życiu domowém: 12go Maja pojąłem za żonę Paulinę Kościszewskę, a ta przyniosła w mój dom trzy niepoślednie literackie zaszczyty, bo jest synowicą wiadomego galicyjskiego Sławianofila Adama Kościszewskiego, wnuką Józefa Szymanowskiego (przez dziada Dominika Szymanowskiego) i prawnuką Ignacego Krasickiego (przez prababkę Kościszewską z Krasickich, rodzoną siostrą Arcybiskupa Gnieznieńskiego:) Szczęśliwszy odtąd niż byłem nim kiedykolwiek przedtém, spokojny, stale osiadły w domu, postanowiłem chwile wiejskiéj zaciszy, poświęcić dawnym upodobańszym mnie zatrudnieniom, tém bardziéj, że zdawało mi się iż właśnie nadeszła pora zwrócić wszystkie obywatelskie chęci ku głównym i jedynym teraz usiłowaniom, podtrzymać życie piśmienne i naukowe. Stosując się do mego położenia samotnego, na wsi, bez żadnych stosunków z ogniskami literatury polskiéj, postanowiłem ogłaszać moje pisma w zbiorze osobnym, któremu dałem nazwisko *Literatura i Krytyka*. Umieszczam w nim pisma moje, bez wprzód obmyślonego ciągu, ale jak mi bieżące okoliczności wskazują. Pochlebiło mi bardzo przyjęcie pierwszego tomu tego zbioru, jednakże zdaje mi się że raczej użyczono uwagi pojedyczym moim twierdzeniom, niżeli ogólnemu systematowi który (tak mi się zdaje) wszystkie razem tworzą. Tom drugi wymierzony był nie tak przeciw saméj literaturze francuzkiéj, jak przeciw wyobrażeniom których jest przejawą. Życzyłem poruszyć pytania ważne, a dotąd wciąż z jednéj tylko strony widziane. W 3im zszedłem do rozbioru literatury krajowéj i układam sobie daléj tę pracę przeciągnąć. Sprobowałem także powieści narodowéj, pod przybranem nazwiskiem naszego dawnego przyjaciela i nauczyciela języka włoskiego w Warszawie, starego legionisty kapitana Tarszy. Oprócz *Koliszczyzny, Stepów i Stannicy*, mam kilka powieści na warsztacie, lecz nie wiem czy znajdę cierpliwość to podokończać, bo pracuję bez pośpiechu i leniwo. Wyraźny wzrost literatury polskiéj w tych czasach, jest najmilszym dla mnie widokiem; raduje on mnie, pokrzepia, zachęca. Śledzę każde jego zjawisko uważnem okiem i śmiem powiedzieć że żaden tu szczegół nie uchodzi mojéj uwagi. Każdego mego pisma, każdéj krytyki ogłaszanéj publicznie, nie jest inna myśl wewnętrzna, tylko wzmagać ten stan rzeczy. Używany do spółpracownictwa w różnych pismach polskich, nie odmawiam w nich uczestniczyć ile dozwoli mi tego nie skory, jak już raz rzekłem, mój sposób pisania. Wiodę prócz tego obszerną korespondencję z literatami naszemi, co mnie pomaga do lepszego pojmowania nie tylko obecnego stanu naszego piśmiennictwa, ale też jego nadziei i przyszłości. Odpisywanie na odbierane listy pochłania znaczną część mojego czasu, lecz nie żałuję tego, bo może kiedyś

w téj korrespondencji zostanie żywy obraz stanu literatury polskiéj w tych kilku latach.

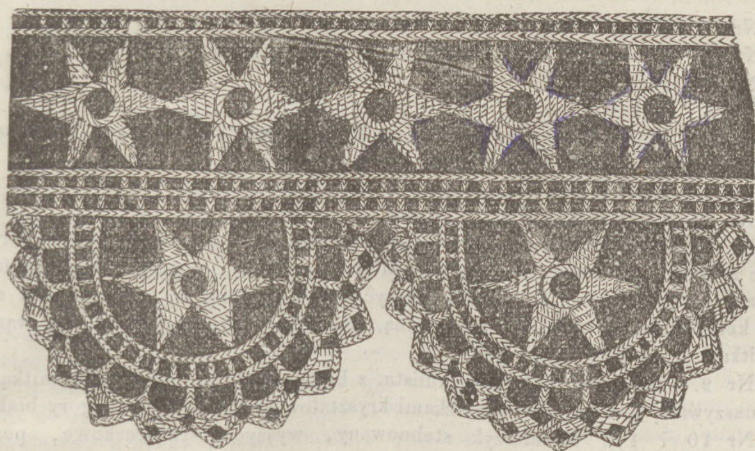
Rok niniejszy zeszedł mi bezowocownie pod literackim względem, nie zdolny bowiem czułem się do pracy, po przeniesieniu wielkiego zmartwienia, którego powodem była strata najstarszego mego dziecięcia, czteroletniego już syna. Ten cios wielką zadał szczerbę temu szczęściu domowemu, które głęboko czułem, które dla mnie zupełnie wystarczało. Zresztą wiodę tryb życia wiejski, a przy zatrudnieniach umysłowych, przenoszę ażeby był samotny. Gospodarstwem rolném zajmuję się nie z upodobania, nie dla zysków, ale z potrzeby, a nadto z obowiązku upatrując go w powołaniu właściciela ziemskiego. Radbym wzmódz obecne dążenie ku gospodarstwu rozumowańszemu i ku odkryciu odmian korzystniejszych dla biednéj wieśniaczéj ludności i dlatego zaprowadziłem tego roku u siebie już nie na domową skalę, ale na fabryczną cukrowarstwo. Zabawą moją a nawet namiętnością jest ogród, który urządzam nad brzegiem Taśminy. Lubo zamieszkałem w najgłębszéj okolicy Ukrainy, od czasu do czasu, odwiedza mnie wszelako ktoś z przyjaciół, ktoś z literatów. Niniejszego lata winienem był przyjemność kilku dni odwiedzin Grozie Aleksandrowi i Michałowi Jezierskiemu. Dla wytchnienia, orzeźwienia się, odświeżenia myśli najmilszą dla mnie bywa wycieczka, o kilkanaście mil od domu, do Steblowa, dokąd mnie ściąga przyjaźń gospodarzy Hermana i Emilji z Borejków Hołowińskich, śliczne skały nad Rosją, biblioteka zamożna w stare księgi i rękopisma polskie, rozmowa z kilku przyjaciołmi, pamiętnemi dawnych zdarzeń i obyczajów krajowych. Zresztą coroczna podróż na kontrakty kijowskie, nie jest dla mnie obojętną, bo tam przy znakomitym zjeździe, łatwo zobaczyć prawie każdego kogo się widzieć pragnie. Od kilku lat obudzone życie literackie w naszéj prowincji, sprawia: że łatwo się znaleść w kole ludzi jednakowych zaprzątnień. W Kijowie więc, widujemy się wszyscy literaci pomiędzy sobą i łatwo wyobrazić, jak zajmujący dla mnie w ciągu roku jest miesiąc Styczeń, w którym pospolicie widuję Konstantego Swidzińskiego, Podwysockiego, księdza Hołowińskiego, hrabiów: Olizara, Przezdzieckiego, Strutyńskiego, P. Grozę, Konarskiego i innych. Osobliwością Kijowa to jest, że tuż obok przedstawicieli literatury polskiéj, literatura rossyjska ma swoich. Znajomy jestem z niektóremi z pomiedzy nich i nie opuszczam zręczności utrzymywać bardzo przyjemnych i bardzo zajmujących stosunków, mianowicie z uczonym Arcybiskupem *Inocentym* i z professorem Maksymowiczem. Literackie towarzystwo Kijowskie, zyszcze niezmiernie teraz na zamieszkaniu w tém mieście hrabiego Henryka Rzewuskiego, a na kontrakty w tym roku, obiecują nam bytność Pana Kraszewskiego; taka wieść krąży przynajmniéj.

Oto jest wszystko, co o sobie donieść mogę; idzie tylko jaki z tego zrobi się użytek? Dostarczam tych szczegółów mego życia, bo wiem, że nikomu ich łatwiéj dać nie przychodzi, jak mnie samemu, że są takie, których nawet nikt inny dać nie mógłby, a chodzi mi o to (jakem już wyżéj powiedział) żeby literatura nasza bogatszą być zaczęła w szczegóły biograficzne o swoich piszących. Jeżeli jednak, najłatwiéj dowiedzieć się od samego autora o jego życiu, niewątpliwie z drugiéj strony, takowa biografia dopełniona być powinna przez tych, co go znają, co z nim żyli. Z tego nawet ostatniego powodu, chętniéj wdałem się w niniejsze pismo, bo udzielając wiadomości o sobie, znalazłem sposobność mówić o drugich i znakomitszych odemnie pisarzach, chociaż ich osobnéj biografji napisać nie mogłem, tak z przyczyny obecnego mego położenia, jak dawnego mego z niemi rozdziału.

Mnie dawno zajmuje projekt ażeby zbierać materjały do historyi anegdotycznéj naszéj literatury, to jest do obrazu nie samych dzieł, ile ogólnego życia naszego umysłowego a więc koterji literackich, ludzi którzy w różnych czasach i w różnych miejscach pomagali do ruchu literackiego, wpływali nań lub tylko wystawiani nań byli. Udzielałem téj myśli różnym literatom. Radbym żeby każdy napisał co mu najlepiéj znajome.

Sprostowanie: Objaśniamy, że wiersz pod tytułem: *Struny i smyczek*, umieszczony w marcowym zeszycie, jedynie przez omyłkę został powtórnie wydrukowany.

Dodatek do Zeszytu VII Kółka Domowego.



Koroneczka szydełkowa z nici, naśladująca gipiurę Cluny.

Weź bardzo cienkich nici i przygotuj stosowną ilość szpiczastych gwiazdek, które się robią tym sposobem: zrób łańcuszek o*9 oczkach, złącz żeby było kółeczko, ściśle obrób te kółko matowym ściegiem, żebyś miała oczek 36 i żeby tak wyglądało jak obdzierganie. Zrób łańcuszek o 8 oczkach, zakręć nitkę na szydełko, włóż w drugie górne oczko łańcuszkowe, przerób, to będzie pierwszy mały słupek, następnie drugi, a na trzeci słupek okręć nitkę dwa razy około szydełka, bo potrzebujesz mieć wyższy, gdyż promienie gwiazdki rozszerzają się i są szpiczaste, wszystkich słupków powinno być 6, opuść 5 oczek matowych na kółeczku, a do szóstego przyczep promień i rób drugi, aż będziesz miała 6 promieni; z lewéj strony zaciągniéj starannie nitkę żeby robota się nie spruła. Kiedy już przygotujesz gwiazdki, zrób łańcuszek długi jak ci potrzeba, na nim zrób drabinkę ze słupków, z odstępem dwóch oczek łańcuszkowych, odłóż na bok; zrób drugi łańcuszek, téj saméj długości, na nim drabinkę rzędów słupkowych, w końcu w odstępach właściwych, bardzo cienką nitką, przyszyj (z lewéj strony kładąc ściegi) gwiazdki przygotowane jak widzisz na rysunku. Teraz będziesz przyrabiać zęby. *Pierwszy rzęd.* Przywiąż nitkę do piérwszego początkowego oczka, zrób łańcuszek o 52 oczkach, przyczep do 31 oczka tego rzędu, przy którym masz podwójne słupki, zrób matowych oczek 15 na następnych oczkach i znów 52 łańcuszkowych przyczepionych na 31 i tak daléj aż do końca, odetnij nitkę zacznij od początku. *Drugi rzęd.* Zrób drabinkę z odstępem 3 oczek łańcuszkowych w górze, a przyczepiaj, omijając dwa od dołu, żeby ząb był kolisty, na 15 matowych, rób 3 łańcuszkowe, dwa opuszczaj u dołu, tym zposobem zapełnisz odstępy zębów małemi ząbeczkami, odetnij nitkę. *Trzeci rzęd.* Przywiąż nitkę, zrób słupek długi, okręciwszy nitkę dwa razy na szydełko przyczep teraz łańcuszek o 9 oczkach, drugi słupek przyczep do siódmego oczka, poprzedzającego rzędu, znów łańcuszek o 9 oczkach i znów słupek i tak daléj aż do końca. Na odstępach, małe ząbeczki, jak wpoprzedzającym rzędzie odetnij nitkę. *Czwarty rzęd i ostatni.* Zrób 2 małe słupki i przyczep do środkowego łańcuszkowego oczka, następnie 7 łańcuszkowych, 2 słupki jeszcze przyczepione do tego samego oczka, potym 2 słupki przyczepione do środkowego łańcuszkowego oczka w następnym ząbku, 7 łańcuszkowych 2 słupki i tak daléj aż do końca. Już ci tylko pozostaje wszyć cienką nitką w każden ząb po jednéj gwiazdce, żeby zęby przy łączeniu nie roztwierały się, możesz pare małych zczepić nitką, będą ci gładziéj leżały.

1 Kwiecin 1866 r.

Objaśnienie tablicy krojów.

Nr 1. Przód kaftanika.
Nr 2. Boczek.
Nr 3. Plecy.
Nr 4. Rękaw.
Nr 5. Figura kaftanika. Robi się on z błękitnego tybetu oszywa zaś taśmą jedwabną turecką, podszewka jedwabna biała.
Nr 6. Figura kaftanika z tyłu.
Nr 7. Chusteczka zwana Gabrjelą
Nr 8. Figura téj chusteczki. Krajać ją trzeba z tiulu, ułożonego wpierw w równo odległe zakładki, aksamitka szeroka u dołu i druga wązka u góry utrzymuje fałdki, na aksamitce można jeżeli się podoba naszyć wstawkę gipiurową. Chusteczka oszytą jest w końcu falbanką tiulową marszczoną, można ją także naszyć trzy razy wąziutką aksamitką i u brzegu koroneczką.
Nr 9. Zwyczajna pelerynka kulista, z białego tybetu, oszycie aksamitką ponsową, naszywaną w odstępach guziczkami kryształowemi i frendzlą z angory białéj.
Nr 10 i 11. Kołnierzyk stebnowany, wyszycie sznureczkowe, punkciki stebnowane.
Nr 12 i 13. Figura tego kołnierzyka i mankietów.
Nr 14 i 15. Kołnierzyk i mankiety z medalionem gipiurowym oszyte koroneczką.
Nr 16. Koszulka dla 12 letniéj dziewczynki z muślinu w fałdki; z przodu układana plisa przy kołnierzyku i u mankietów, a prócz tego dziergane dziurki podłużne, przez które przewleka się wstążka kolorowa, brzegiem ząbeczki.
Nr 17 i 18. Zarzutka lekka z tybetu z otwartemi rękawami oszycie tasiemeczką z tyłu i przodu.
Nr 19. Aplikacja z aksamitu na brzeg do jedwabnéj szarfy.
Nr 20. Sposób założenia szarfy przez krawatkę.
Nr 21 i 22. Siatka ukośna cerowana.
Nr 23. Siatka prosta cerowana służąca do przykrycia pleców foteli lub małego stoliczka.
Nr 24. Przód paletocika wcientego do stanu dla 12 letniéj panienki.
Nr 25. Boczęk od przodu.
Nr 26. Połowa pleców.
Nr 27. Boczek od tyłu.
Nr 28. Rękawek paletocika.
Nr 29. Motyl do wycierania piór. Do zrobienia tego motyla według wzoru, potrzeba kawałek aksamitu, czarnéj materji i sukna lub flaneli.

Na aksamitnych skrzydełkach, wyszyć jedwabiami kordonkowemi w kolorach czerwonym i zielonym centki, ściegiem stebnowanym, także ząbki i prążki, tak jak są na rysunku, łańcuszki ściegiem szpdełkowym, jedwabiem białym, łańcuszki otaczające 6 centek, jedwabiem żółtym, ściegiem stebnowanym. Brzeg skrzydeł obrzucić rzadkiem dzierganiem z odstępem ściegów, jak widać na wzorze, jedwabiem błękitnym. Kiedy tak skrzydełka wykończone, wziąść materję czarną, gęstą gummą podlepić z lewéj strony aksamitne skrzydełka, żeby były sztywne, niech wyschną, brzegiem wyciąć szpiczaste ząbki, a zwierzchnie skrzydełka będą już skończone. Wziąść ukośny kawałek aksamitu, wyłożyć watą, żeby był korpus wypukły, z lewéj strony z szyć brzegi, czarną jedwabną nitką, ściągnąć szyjkę, żeby się łepek uwydatnił, przymocówać potem dwa szklanne żółte paciorki, w miejscu gdzie są oczy; aby zrobić wąsy przeciągnąć albo gruby włos koński, albo od dużéj ryby cienką osteczkę Pięć prążek oznaczonych na korpusie, okręcić żółtą płaską filozellą, przymocowawszy z lewéj strony. Obydwa aksamitne skrzydełka przyszyć do korpusu w koniec, te które wycięte z flaneli lub sukna, a które służyć będą do wycierania piór z atramentu lub do szpilek.

Nr 30. Szlaczek na cienkim batyście. Na aplikacji tiulu koronkowego, sznureczkiem gęstym, bardzo cienką bawełną oszyć na około wszystkie linijki deseniowe; na drabinkę przeciągnąć nitkę od jednéj do drugiéj linijki, a wracając z igłą parę razy okręcić nitkę, która jest na igle, żeby słupek tworzył sznureczek, kiedy już cały zrobi się, deseń wyhaftować atłaskiem na batyście górne gwiazdki i tiul wyciąć jak rysunek wskazuje.

Nr 31. Szlaczek na tiulu koronkowym tak samo robi się jak pierwszy, z tą tylko różnicą że tiulowa falbanka pozostaje, a batyst się wycina.

Nr 32 i 33. Szlaki do spódnic haft angielski atłaskiem.

Nr 34, 35 i 36. Tarcze i cyfra.

Nr 37 i 38. Szlaczki.

Nr 39 i 40. Wyszycie tasiemeczką.

Nr 41. Serwetka szydełkowa lub siatkowa do przykrycia pleców od fotelu.

Nr 42. Wzór pantofla z repsu w kolorze skóry nie wyprawnéj. Wyrysować według niego na papierze medaliony środkowe i podlepić na nich gummą czarną morę, a potem wyciąć; oznaczyć na pantoflu miejsce gdzie mają być medaliony położone i przyszyć, w tem miejscu jak zwykłą aplikację otoczyć złotym sznureczkiem. Z odstępem jak na deseniu zrobić aplikacją z wązkiéj wstążki ponsowéj i arabesk wyszyć sznureczkiem złotym, w końcu na medalionach przyszyć mleczne białe paciorki, podobnie jak na rysunku.

Nr 43. Alfabet.

O UBIORACH.

Oglądałyśmy u pani Włodkowskiéj kilka pięknych sukien przeznaczonych do wyprawy. Suknia z materji białéj w niebieskie podłużne prążki miała w dole wolant z *poult de soie* niebieskiego, wycięty w szpiczaste ząbki objęte białem. Stanik gładki pod szyję miał od ramion aż do pleców szarfy błękitne wszywane; od pleców aż do dołu spódnicy w którą także były wszyte, rozchodziły się w kształcie dwóch kolumn szerokich otoczone z boków koroneczką Cluny. Sposób ten przystrojenia sukni może się zastosowa- z wielką dogodnością, do sukien, które chcemy poszerzyć, obie bowiem szarfy w dole są, każda na pół łokcia przeszło szerokie, u góry zaś węższe wszywają się jak kliny. Suknia z białéj Alpagi, fasonu *Gabrielle* zdobna pasmanterją i kryształem, przeznaczona była na rano dla panny młodéj w dzień ślubu (który się miał odbywać na wsi). Na sam ślub (o godzinie 2 z południa) przygotowaną była gładka biała suknia z ciężkiego *poult de soie* ze stanikiem gładkim pod szyję, na głowę wieniec i szeroki welon z illuzji, który miał pokrywać nie tylko całą figurę lecz i twarz na sposób francuzki. Następnie na wieczór tańcujący, odjąć się miał welon, a w miejsce stanika pod szyję włożyć stanik wycięty zdobny bruxelską koronką (*point à l'aiguille*) z tuniką z takiéjże koronki, podpinaną kokardami z białéj morowéj wstęgi. Dla matki panny młodéj (osoby jeszcze młodéj i prawie równie pięknéj jak córka) na sam ślub była suknia błękitna aksamitna, ze stanikiem baskinowym tworzącym rodzaj paletocika oszywanego koronką zwaną *point d'Angleterre*, kapelusik z białéj illuzji z szarfami i ubraniem z tegoż samego axamitu co suknia, pokryty koronką (*point d'Alençon*), Na wieczór spódnica z białego (*poult de soie*) ubrana u dołu białą illuzją, na niéj zaś różowa atłasowa tunika, tworząca z jednego boku ząb szpiczasty sięgający aż do dołu, rozcięty w pośrodku i spojony różowemi kokardami. Stanik także różowy atłasowy wycięty do góry czworograniasto (*carré*) zdobny był również jak tunika do koła, białą blondyną, haftowaną białą sieczką. Strój głowy, tworzyła wpięta z boku odwróconych do góry włosów, różowa atłasowa

rozetka z gwiazdą brylantową w pośrodku, podtrzymująca kitkę z czaplego piórka *(plume de heron)*. Kitki takie czyli egretki na wzór tych, które widziemy na starych portretach, są obecnie najmodniejszym strojem głowy, dla osób które noszą włosy odwrócone do góry; można także nosić samą rozetkę z czarnego aksamitu, w którą wpięty motylek lub kwiatek z drogich kamieni. Wtedy opaska aksamitna (*bandelette*), powinna się przesunąć pomiędzy włosy, tak aby ją widać było nad czołem. Rezetka taka nie powinna, czy to wraz z kitką czy bez, iść wyżéj jak wysokość podniesionych włosów i nie powinna być zbyt duża. Dla siostry panny młodéj szesnastoletniéj panienki, przygotowaną była na sam ślub gładka jedwabna sukienka w zielone prążki na tle białem, bez ogona, bardzo bowiem młode panienki, noszą tylko suknie długie do saméj ziemi, lecz nie powłoczyste. Na wieczór miała mieć suknię z białego tarletanu, ze spódnicą wygarnirowaną tarletanem różowym, stanik zaś wycięty, a na nim rodzaj gorsecika *corselet* z różowego *poult de soie*. Oglądałyśmy również u pani Włodkowskiéj, kilka ładnych kapeluszy, które tu opiszemy. Kapelusz z czarnego brukselskiego tiulu, gęsto posianego czarnemi drobnemi perełkami, miał takież podpięcie z różami i takiż welonik spadający od główki i dwoma różami spięty. Kapelusz z *poult de soie* fioletowy, podpięcie z wieńca z fijołków bez liści, główkę czarną tiulową i od niéj spadający czarny welonik przytrzymywany wiankiem z fijołków od góry. Tiulowy czarny na tle białem, ubrany był aksamitem niebieskim, który tworzył podpięcie ujęte trzema kameami. Czarny *poult de soie* z główką czarną tiulową ubrany był frendzlę dżetową, spadającą na karczek i na podpięcie u góry. Aksamitny czarny, miał główkę z tiulu jedwabnego, koloru *pervenche*, z takim welonikiem spadającym od dołu we dwa końce, podpięcie z kwiatów aksamitnych tegoż koloru. Nowości żadnych jeszcze niema w naszych magazynach, nadchodząca wiosna dopiero je okaże. W magazynie fryzjerskim pana Kocha toż same co i w innych pod tym względem. Widzieliśmy tylko nowo sprowadzone złote opaski w kilka rzędów do przystrojenia koków po rs. 5, szpilki szylkretowe do włosów, których głowy obleczone kolorowym aksamitem, opaski rozmaite na głowę naszyjniki i puginały złote lub srebrne po złp 10.

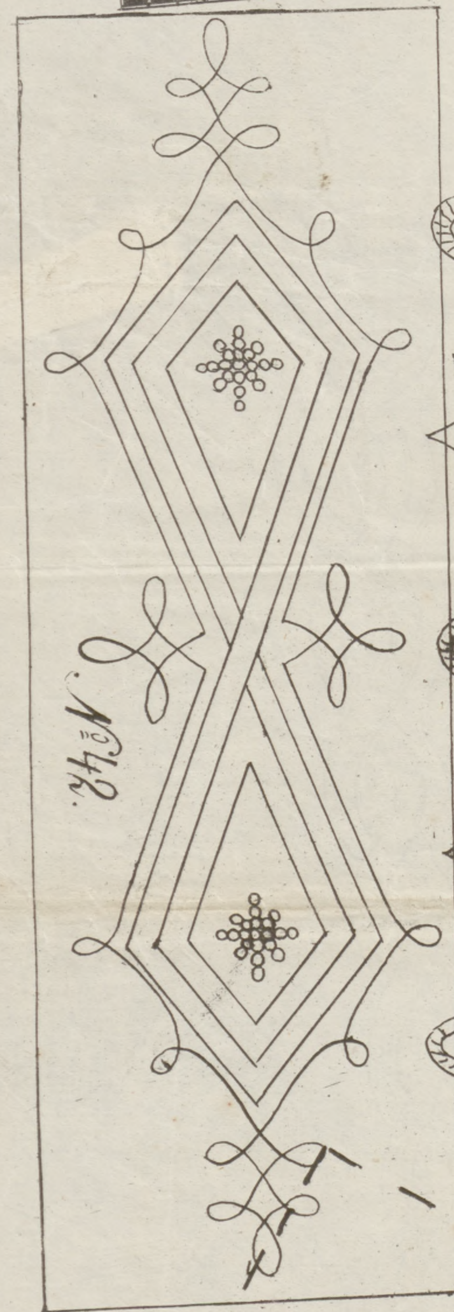
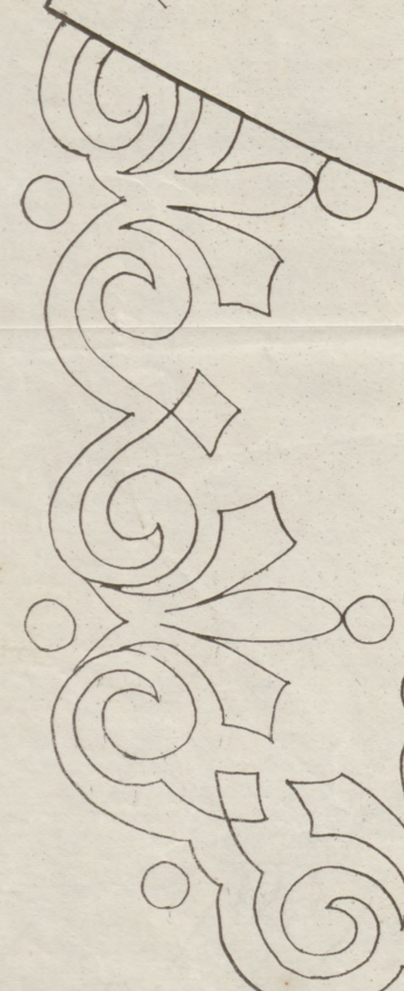
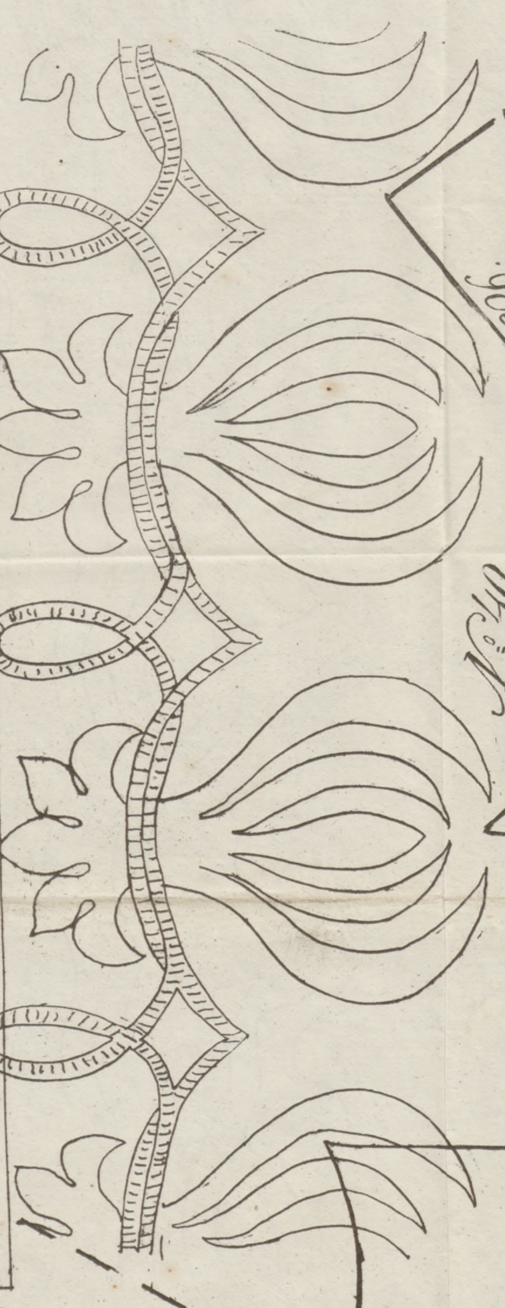
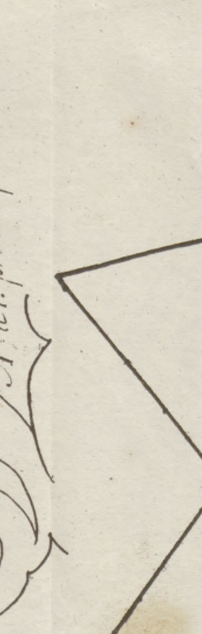
Pani Konstańska właścicielka magazynu mód przy ulicy Senatorskiéj wprost domu przechodniego Roeslera, sprowadziła już świeże modele paryskie i przygotowała na ich wzór znaczną ilość kapeluszy jedwabnych wiosennych po cenach bardzo przystępnych. Zaopatrzyła się również w kapelusze ryżowe i słomkowe, które także do prania i do przerobienia przyjmować się podejmuje. Czepeczki i ubiorki na głowę, pani Konstańskiéj zalecają się zgrabnością fasonów. Zakład ten niedawno bo dopiero w roku zeszłym założony, akuratnością w wykończeniu i tannością sprzedawanych przedmiotów ubioru, zyskał sobie powodzenie, mimo że obecnie w Warszawie posiadamy znaczną liczbę magazynów strojów kobiecych. Słyszeliśmy że na nadchodzące lato przygotowywują w Paryżu kapelusze otwarte zwane *Palmyre*, sądzimy jednak że używać ich będą jak to już weszło w zwyczaj od pewnego czasu jedynie na przechadzki ranne lub do wód i na wsi, miejskie zaś kapelusze pozostaną zawsze też same.

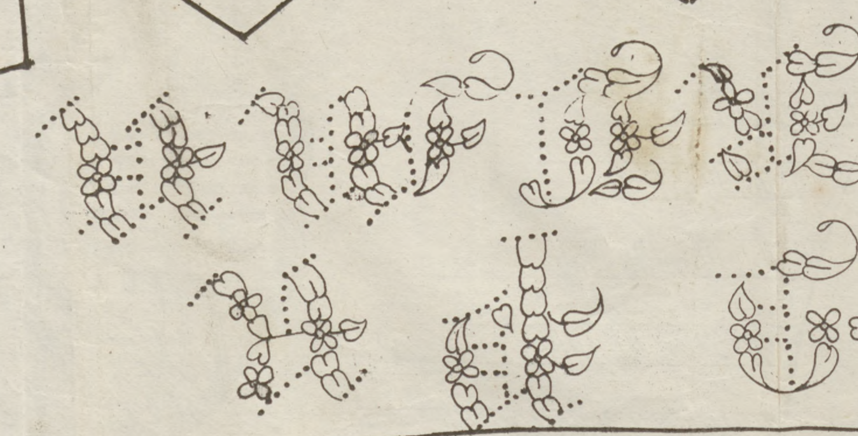
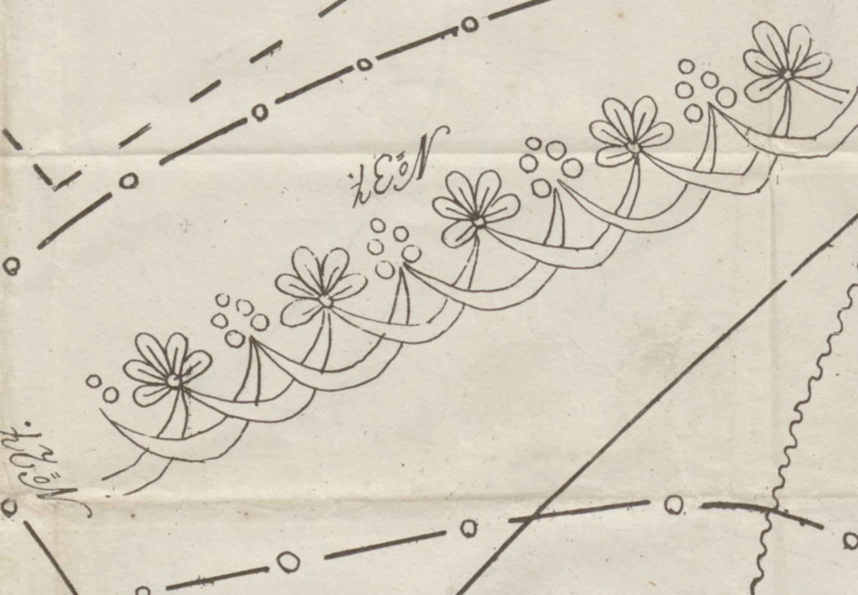
PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Mazurki z Bakalij.

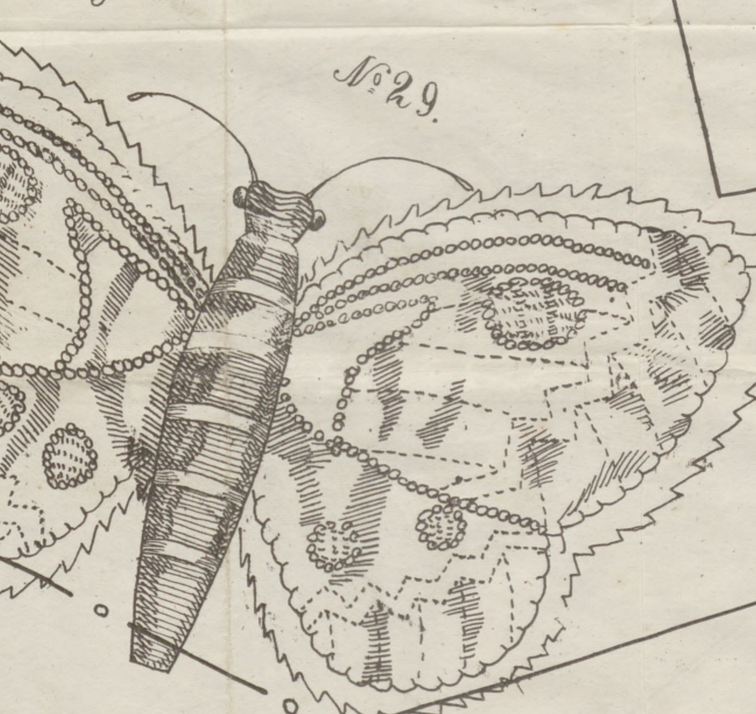
Ile zaważy 6 jaj z łupinami, tyle odważyć migdałów słodkich, nie parzonych, tylko czysto wytartych w serwecie, tyle rodzenków bez pestek, tyle daktyli, cykaty, skórki pomarańczowe i cukru. Wszystko pokrajać w paski, jaja trzeć z cukrem aż dopóki nie zbieleją, potem wymięszać z bakaljami i rozciągając na opłatkach na cal grubości osuszać w wolnym piecu.

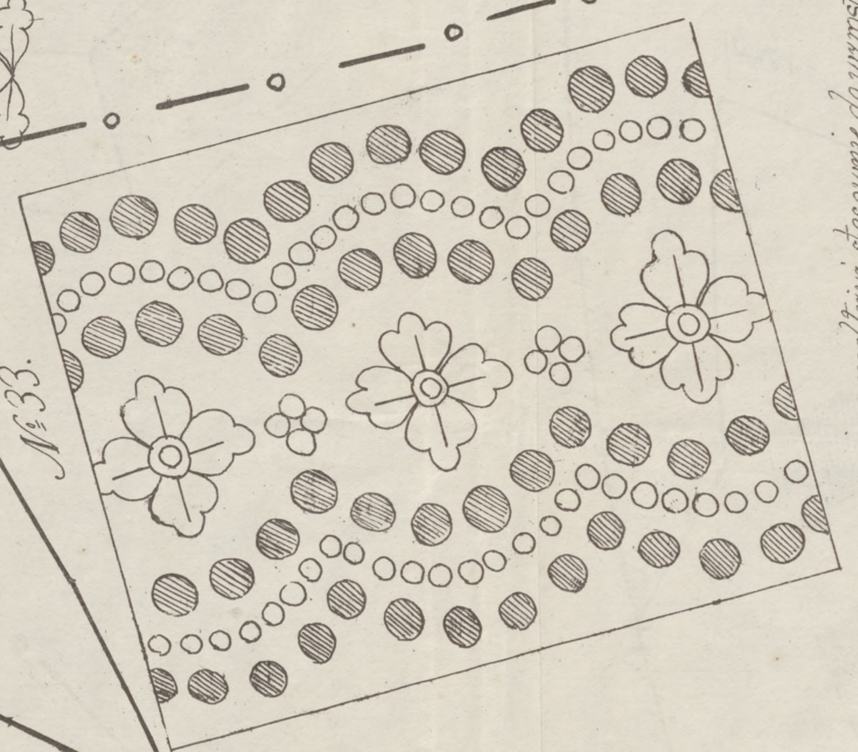
KÓŁKO DOMOWE na M: Kwiecień 1886 r.

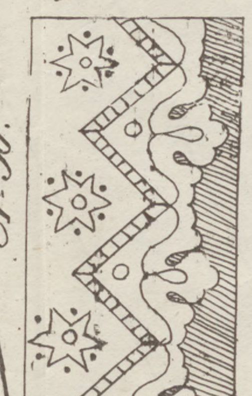





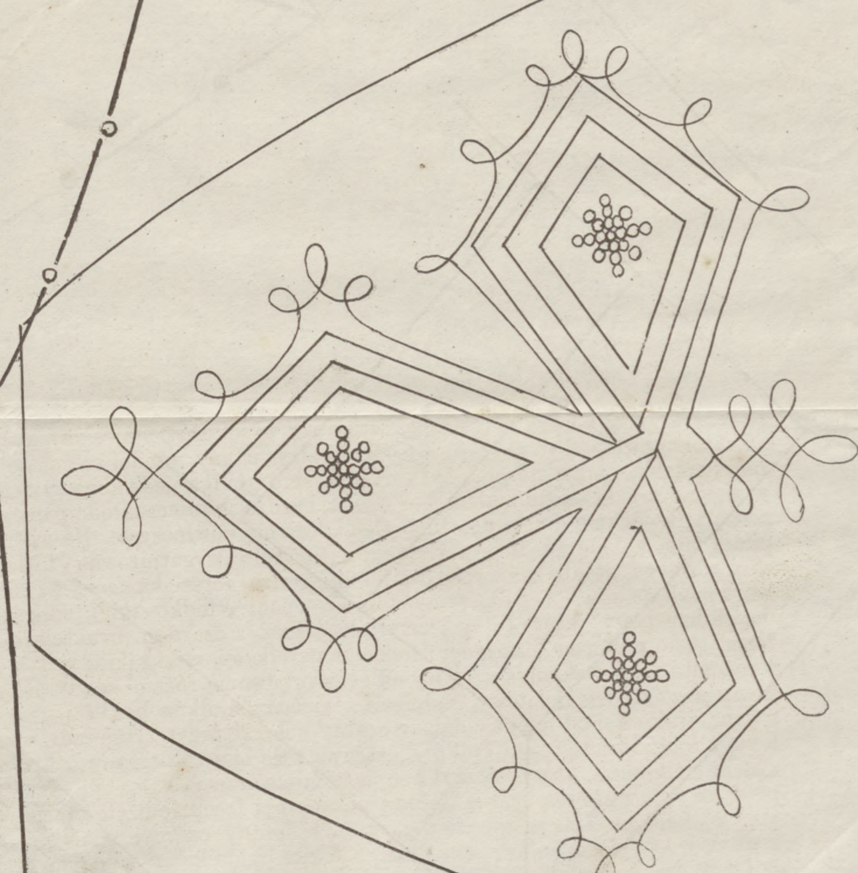







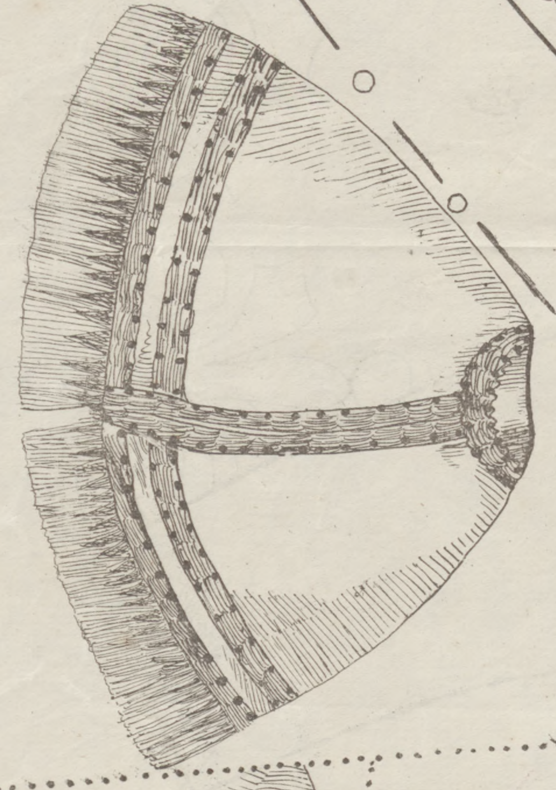


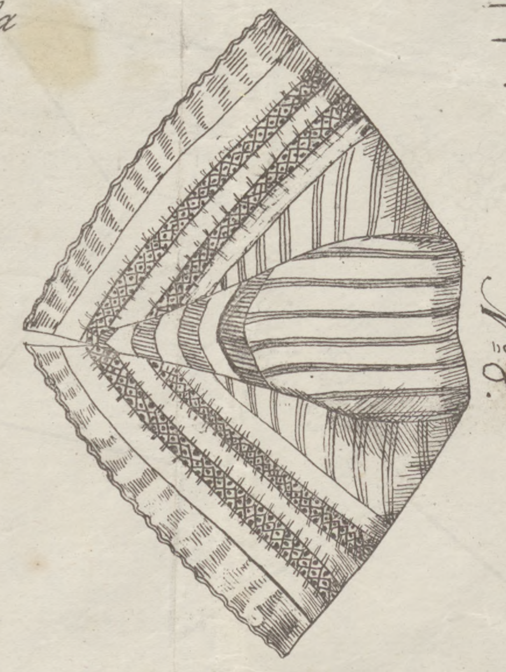



№ 7. chustka gubriella

aksamitka

aksamitka


№ 9.


№ 8.

fałdki

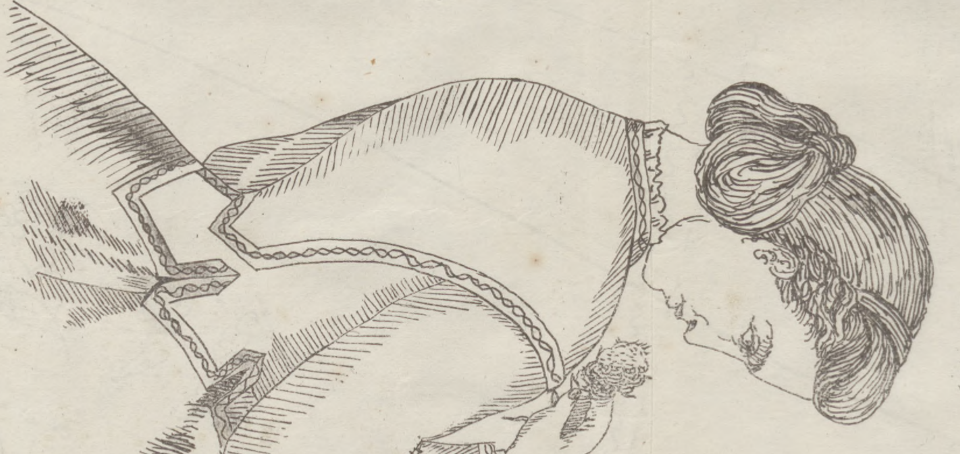

№ 5.

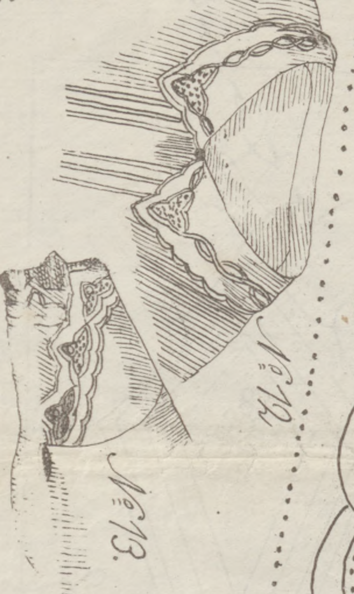

№ 23.

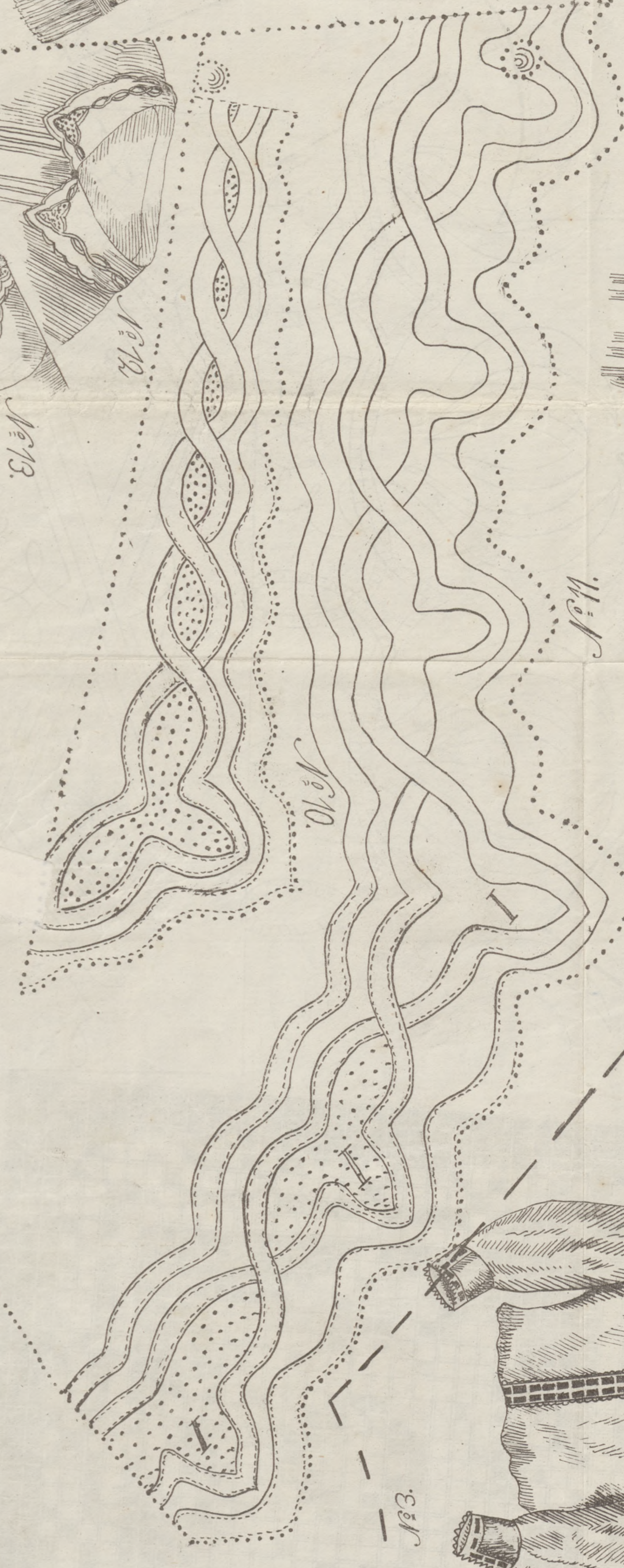
№ 22.

nakładka na

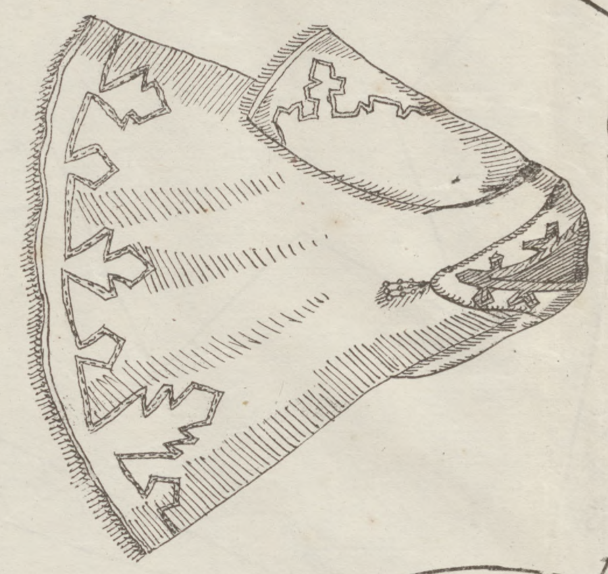
kieszonka


№ 6.

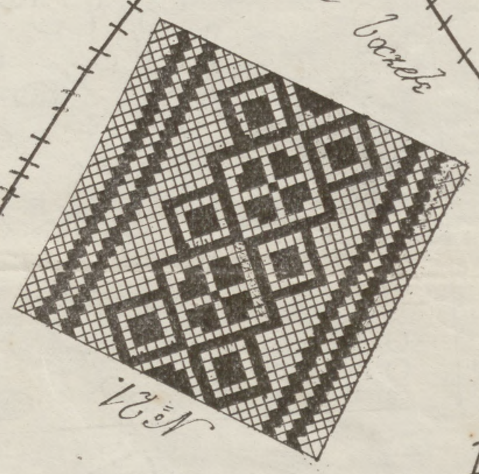

№ 12. № 13.


№ 11. № 10.


№ 14. № 15.


№ 17.

№ 18.


№ 21.

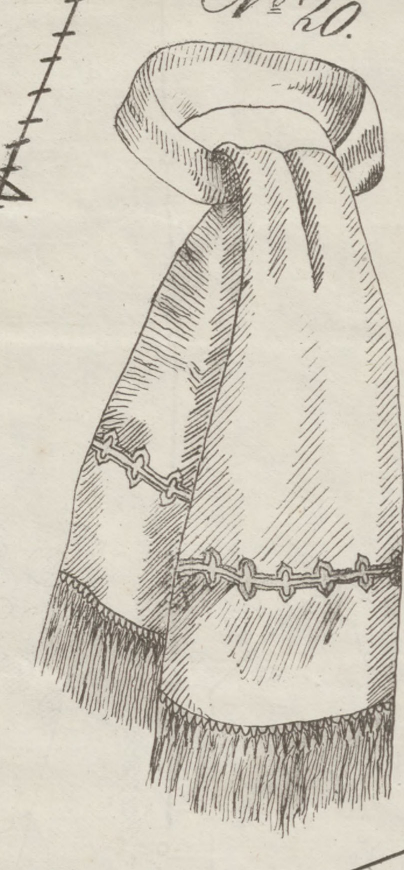
№ 2. bazik

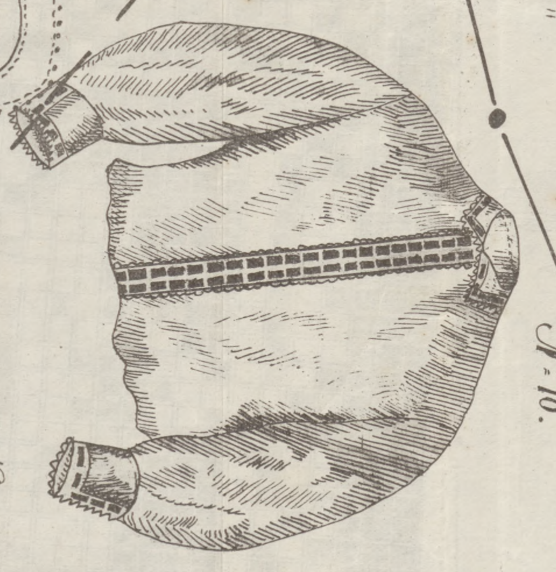
aksamitka

№ 1.

aksamitka

№ 19.


№ 20.


№ 16. № 3.

№ 4. wierzchnia część rękawa

№ 4. spodnia połowa rękawa

brzeg oszycia

brzeg oszycia